

ŻYCIE GOSPODARCZE

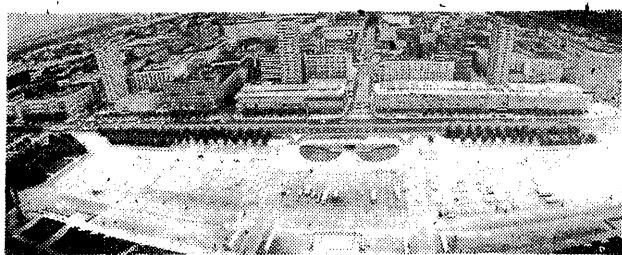
TYGODNIK SPOŁECZNO-GOSPODARCZY

CENA 4 ZŁ

Jak ugryźć rezerwy?

NASZ KOMENTARZ

str. 1 i 8



Nie jest to Brasilia — pomysły przekształcony w miasto, lecz Warszawa — miasto potrzebujące pomysłu

ERNEST SKALSKI

str. 1-2



Kariera zawodowa w okrętownictwie nie była „usypiająca”.

Wywiad z mgr. WŁODZIMIERZEM KORCHOTEM - dyrektorem ekonomicznym PZO.

str. 5 i 8

Nowy samochód stojący tygodniami z braku części — to wypaczenie idei motoryzacji

ANDRZEJ NAŁĘCZ-JAWECKI

str. 9

KUSI MNIE INFORMATYKA

„Moje trzydziestolecie — wspomnienia ekonomisty”

str. 3

Nowoczesność i „manufaktura” w gospodarce żywnościowej

AUGUSTYN WOŚ

str. 10

Czy zazdrości turyście?

LECH FROELICH — str. 6

Produktowanie mączki rybnej stało się działalnością wstydliwą i przykrą

WŁADYSŁAW DANISZEWSKI

str. 7

Świat się przepełnia...

MAREK OKÓLSKI — str. 14



POWSZEDNIOŚĆ SMAKUJE ROZMAICIE

ANDRZEJ LUBOWSKI

str. 7

nasz komentarz

UWAGA NA ZAPASY I INWESTYCJE

ZAKOŃCZYŁ SIĘ już okres obchodów z okazji 30-lecia i choć jeszcze w prasie ukazują się sporo rocznicowych materiałów — gospodarka pracuje normalnym rytmem. Normalnym — to znaczy wykonując, a często i przekraczając zadania planowe, borykając się przy tym z rozmaitymi kłopotami i trudnościami.

I lipiec zresztą też był — jeżeli chodzi o wysiłek — miesiącem nie odbiegającym od okresów poprzednich. Wysoka dynamika rozwojowa została utrzymana, a wystąpiły jedynie „zwyczajne” letnie przyhamowania, wynikające z okresu urlopów, natężenia prac polowych i nie najlepszych dla niektórych działów (głównie dla rolnictwa) warunków atmosferycznych.

W lipcu produkcja przemysłowa (liczona wartością sprzedaży wyrobów własnych i usług) była o około 14 proc. wyższa niż w lipcu ub. roku. Tempo było więc dobre — nawet nieco lepsze niż w całym pierwszym półroczu. Nie zmienia to jednak faktu, że nie udało nam się złagodzić sezonowego spadku produkcji. W porównaniu bowiem z czerwcem br. produkcja sprzedana była niższa o ok. 9,4 proc., a w porównywalnym czasie pracy — o ok. 14,5 proc. Jest to stałe zjawisko, wynikające z różnych przyczyn. Nie wszystkie można uznać za obiektywne. Równocześnie bowiem zwiększyło się w lipcu zatrudnienie w przemyśle — w porównaniu z czerwcem o ok. 31,2 tys. osób. Wysokie jest równocześnie tempo wzrostu wydajności pracy, szczególnie liczone na 1 przepracowaną robotnikogodzinę. Można więc powiedzieć, że po prostu tych przepracowanych robotnikogodzin było mniej — a głównym tego źródłem jest spiętrzenie urlopów. Ci natomiast, co pozostali przy warsztatach — pracowali ciężko i wydajnie.

Nie same jednak urlopy wpływają na to, że od lat krzywa produkcji w lipcu ulega załamaniu. Podobny, choć nieco płytszy spadek następuje również w styczniu i kwietniu. A więc w miesiącach rozpoczynających kwartały — co w gruncie rzeczy nie wynika z żadnych obiektywnych przyczyn, poza tym, że przyzwyczajaliśmy się do silnej mobilizacji w okresach kończących okre-

sy planistyczne i do „rozluźnienia” organizacyjnego w następnych miesiącach. Warto byłoby przeanalizować bliżej ten swoisty rytm kwartalny. Jeżeli bowiem pod koniec kwartału można osiągać zawsze lepsze wyniki niż w pierwszych miesiącach, to znaczy że istniejące moce produkcyjne i inne czynniki produkcji pozwalają na wyższą przeciętną produkcję od rzeczywistości osiągniętej.

W przemyśle bardzo nie lubią, gdy mówi się, że mają jeszcze duże rezerwy wzrostu produkcji. Jednak popatrzenie na krzywą tej produkcji, na jej gwałtowne wznosy i spadki — sygnalizuje, że takie rezerwy, i to wcale niemałe, nadal istnieją.

Warunkiem ich wykorzystania są jednak zmiany i usprawnienia nie tylko w toku samej produkcji. Czynnikiem, który zaczyna odgrywać coraz większą rolę, jest zaopatrzenie materiałowe. Trudności materiałowe narastają zawsze przy wysokim tempie wzrostu produkcji. Wynika to stąd, że nie wszystkie działy i branże przekraczają zadania planowe w jednakowej skali — na poszczególnych odcinkach mogą więc powstawać i powstają napięcia w zaopatrzeniu i kooperacji. W ostatnim okresie napięcia tego rodzaju były najczęściej łagodzone przez handel zagraniczny, ściślej mówiąc — przez ponadplanowy import. Jednak możliwości te szybko się wyczerpują. Wynika to z jednej strony z szybkiego wzrostu cen na większość surowców i materiałów na rynkach światowych (a niektórych materiałów nie można dostać właściwie za żadną cenę), z drugiej zaś — z konieczności bilansowania obrotów handlu zagranicznego. Istnieją również narastające trudności z uzyskaniem kredytów handlowych, co wynika z faktu, że większość krajów Europy Zachodniej, mających dotychczas dodatni bilans handlowy i płatniczy, w wyniku wzrostu cen surowców (głównie ropy naftowej) wpadło w deficyt płatniczy, który wyrównywany jest właśnie przez zaciąganie przez te kraje kredytów na rynku eurodolarowym.

Musimy więc w większej mierze liczyć na własne możliwości. W ten sposób w nowej, zaostrożonej formie wróciły problemy postawione przed dwoma laty na VIII Plenum KC PZPR.

Udział kosztów materiałowych kształtuje się u nas ciągle wysoko. Jeśli nawet relacja kosztów materiałowych w stosunku do wartości sprzedaży w cenach zbytu w br. poprawiła się nieco, to trzeba tu wziąć pod uwagę nie tylko rzeczywistą obniżkę zużycia materiałów, ale również ruch cen. Średnie ceny wielu grup wyrobów rosną bowiem w ostatnim okresie dość systematycznie, co może wynikać z poprawy jakości, ale również i ze zmian asortymentowych, które zawyżają wartość sprzedaży i w ten sposób wpływają na poprawę relacji kosztów do wartości sprzedaży bez rzeczywistego wysiłku na rzecz obniżenia materiałochłonności poszczególnych wyrobów.

Dość istotny wzrost kosztów materiałowych wystąpił w przemyśle chemicznym. Wpłynął na to wspomniany

DOKONCZENIE NA STR. 8

MIESZKAĆ NA MODLINIE

ERNEST SKALSKI

DZIADKOWIE jeździli do Mokotowa i w Mokotowie spędzali urlopy, my zaś będziemy jeździć na Legionowo i mieszkać na Modlinie już za piętnaście lat, a jak dobrze pójdzie to wcześniej. Plan perspektywiczny do 1990 roku dla aglomeracji gotów ma być dopiero na koniec roku. Decyzji wykonawczych jeszcze nie ma, lecz to co ma w nim być — wiadome już jest nie tylko w ogólnych zarysach. To i owo może się jeszcze zmienić, lecz już na pewno nikt nie przyjdzie i nie powie: panowie, dajemy sobie spokój z kierunkiem: Legionowo — Modlin, a budujemy się na Mińsk Mazowiecki i lokujemy miasto-satelitę pod Grójcem. Bez rozgłosu, bez wielkich dyskusji publicznych, określona została koncepcja rozwoju warszawskiej aglomeracji i weszła w zaawansowane już dziś stadium prac planistycznych. Sprawa jest przesądzona i będziemy się budować na prawym brzegu Wisły, na północ

NIE MA WYJŚCIA POZA ROZWOJEM

Jeszcze parę lat temu, pod koniec lat sześćdziesiątych, wcale nie byliśmy tacy pewni, że Warszawa będzie się w ogóle dalej rozwijać. Zakładano w zasadzie nierozszerzanie miasta poza istniejące granice i niepowiększanie, inaczej niż przez przyrost naturalny, liczby jej mieszkańców. W tych nie tak odległych czasach dostrzegano już wszystkie mankamenty funkcjonowania wielkiej metropolii i trudności związane z egzystowaniem w nich, lecz chyba nie doceniano jeszcze możliwości przewyższania tego stanu rzeczy. Wpływały na to też skromne możliwości inwestycyjne, tak jak je wówczas widziano. Stąd też defetystyczne plany dla Warszawy, która miała już nie rozszerzać swego stanu posiadania, lecz inwestować jedynie w jego poprawę.

Na szczęście okres ten minął dość szybko, a podejmowane nawet próby deaglomeracji nie dały prawie żadnych wyników. Dziś patrzymy już na ten problem inaczej, widząc zarówno niemożliwość, jak i niecelowość hamowania naturalnego pro-

cesu jakim jest w naszej cywilizacji rozwój wielkich organizmów miejskich. Zadane bowiem koncepcje, nawet oparte na poprawnym logicznym wywodzie i poparte prawomocną decyzją, nie są w stanie odwrócić naturalnych kierunków rozwoju.

Do tych ogólnych założeń doszedł także bardzo konkretny rachunek ekonomiczny. Inwestowanie w wielkich aglomeracjach jest efektywniejsze niż gdzie indziej, efektywność pracy także. Większe są również szanse rozwoju jednostki, a jakości życia — problematyczna, bo są czynniki działające w obie strony. Jeśli istnieje próg wielkości, powyżej którego dalszy rozwój aglomeracji przestaje być opłacalny, to jest on zmienny i różny w różnych warunkach, a przede wszystkim w Warszawie jest jeszcze bardzo daleko od niego.

Inaczej też patrzymy na problem przestrzennego zagospodarowania kraju, który nie powinien stanowić mniej więcej jednorodnie zagospodarowanej powierzchni, lecz organizm, którego części spełniają zróżnicowane funkcje. Rozwinięta na całą Polskę urbanizacja wraz z industrializacją byłaby nieefektywna, nieczyłaby naturalne walory wszędzie. Stąd konieczność dalszej koncentracji. Ta zaś musi się liczyć z dotychczasowym, historycznym spódarowywaniem Polski. Czyli nie może przewidywać wielkich aglomeracji w Beskidach czy na Mazurach, z pominięciem rozwoju już istniejących.

Te wszystkie przesłanki nie przekreślają oczywiście tego co wiemy o ewidentnych mankamentach wielkich zespołów miejskich, a stąd podstawowym warunkiem dalszego rozwoju staje się generalna poprawa ich jakości. To również musi być uwzględniane w planowaniu dalszego rozwoju Warszawy, a właściwie całej aglomeracji, zwanej Warszawskim Zespołem Miejskim — WZM.

Podstawowym parametrem przy planowaniu jego rozwoju jest prognoza ludnościowa. W tej chwili Warszawa ma 1,4 miliona mieszkańców, a WZM — 2,25 mln. Na rok 1990 przewiduje się dla miasta w jego dzisiejszych granicach wszytkiego 1,55 mln a dla aglomeracji — 3 mln,

przy czym ten ostatni szacunek jest raczej skromny.

Tak więc w ciągu, praktycznie piętnastolecia, w WZM trzeba zbudować domy dla 750 tysięcy zupełnie nowych mieszkańców i dla setek tysięcy tych, którzy muszą poprawić swoje warunki mieszkaniowe oraz dla tych, którzy w tym czasie będą musieli opuścić kasowane budynki. Należy zaś pamiętać, że w docelowym 1990 roku, na statystyczną rodzinę ma przypadać oddzielne mieszkanie, a w nim co najmniej jeden pokój na osobę, że metraż ma być większy, a zabudowa luźniejsza. Trzeba też przy tym uwzględnić potrzebną ilość nowych urządzeń komunalnych i socjalnych o wyższym niż dziś standardzie, poprawę i rozbudowę istniejących, przyrost miejsc pracy a w tym wiele we wznoszonych od podstaw fabrykach. Tak więc mówiąc o drugiej Polsce, nie można pominąć drugiej Warszawy, i nie będzie to wcale przenośnia.

MIEJSCE DLA KUBATURY

Wiedząc już, że trzeba będzie budować coraz więcej, wiedząc mniej więcej co i ile, należało zdecydować jak i gdzie. Problem terenów pod zabudowę stał się w latach siedemdziesiątych szczególnie palący. W tej chwili w obecnych granicach miasta już ich praktycznie prawie nie ma. Obszary przeznaczone pod zabudowę zostały niemal do końca wykorzystane i rozdysponowane na najbliższy okres. Istniejące jeszcze zielone tereny nie mogą być w żadnym przypadku traktowane jako rezerwa budownictwa. I tak jest ich, jak na potrzeby miasta, za mało. W tej chwili dyskutowane są jeszcze w drodze kompromisu powstanie tam zabudowa niska i nieintensywna, to nieszczeście jeszcze nie będzie, ale to już jest prawie wszystko, jeśli nie liczyć plomb. Ilościowych zadań przyszłej pięcioletki nie ma już gdzie ulokować w istniejących granicach, bez zdecydowanego pogorszenia struktury miasta, co oczywiście nie

DOKONCZENIE NA STR. 2

MIESZKAĆ NA MODLINIE

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

wchodzi w rachubę. Może ona być wykonana jedynie jako pierwszy wieloletni etap perspektywnego planu rozbudowy WZM, już przewidywanego na nowych terenach, na głównym kierunku ekspansji. Dlatego też nie można było zwlekać z jego wyborem.

Istnieje kilka podstawowych wariantów rozbudowy organizmów miejskich. Najgorszy to tzw. „plama atramentu”. Miasto po prostu powiększa, najczęściej dookoła, obszar zwartej zabudowy, zagarniając bez specjalnego wyboru najbliższe, coraz większe przestrzenie. W ten sposób żywotowo rozwijało się przez lata wiele miast, w dużym stopniu i Warszawa głównie do I wojny światowej. W takim mieście warunki życia są najgorsze. Człowiek tkwi przeważnie w ogromnym zurbanizowanym maszywie, z którego trudno się jest wydostać, i w którym jest się narażonym na skomasowane oddziaływania wiewiórek, hałasu i innych wielkomięskich niedogodności.

Istnieje też wariant „palcowy”. W wielu przypadkach i on powstał żywotowo, lecz często był świadomie zakładany przez urbanistów. Jeszcze w okresie przedwojennym furore zrobił taki „palcowalowy”, jako go nazywano, plan rozwoju Kopenhagi. W tym wariantcie zabudowa miejska z historycznego centrum wysuwa się pasmami wzdłuż szlaków komunikacyjnych. Pasma te są dość wąskie, co zapewnia ich mieszkańcom kontakt z zielonymi terenami, a bliska odległość od centrum i owe szlaki zapewniają z nim dobrą łączność. Koncepcja ta bardzo zachęcająca, lecz praktyka ujawnia, że bardzo niepokojące objawy. Istnieje nieprzerpata i nie dająca się pokonać skłonność do zabudowywania wolnych terenów, leżących pomiędzy terenami już zabudowanymi. W ten sposób między „palcami” rosną się „błona”, lichej na ogół zabudowy, znowu mamy do czynienia z „plamą”. W dodatku, nawet wolne przez jakiś czas tereny zielone nie są najbardziej wartościowe, bo znajdują się między zabudową i prawie przy każdym wiatrach narażone są na jakieś wylewy. Warszawa, która w dużym stopniu tak właśnie się rozwijała (żywotowo) po pierwszej i drugiej wojnie światowej, doświadcza na sobie licznych braków tego wariantu, w tym, że już nawet na szlakach komunikacyjnych infrastruktura tych pasm zabudowy jest w przeważnie mierze substandardowa.

W latach powojennych w urbanistycznej koncepcji nie wielkich miast satelitarnych, zapewniających łatwy kontakt z przyrodą, a będących uzupełnieniem wielkiej metropolii i substytutem jej dalszego wzrostu. Najkonsekwentniej realizował tę koncepcję Londyn, przy którego ogromie było to już jedynym wyjściem, ale w różnym stopniu wcielano ją w życie i w innych krajach. Ten wariant również

nie okazał się bez wad. Powstawały, znane w Polsce, miasta-sypialnie, kałkie i o niepełnym profilu, nie spełniające podstawowych funkcji miejskich. Ich usamodzielnianie prowadzi do powstawania małych miasteczek przegrzających w konkurencji z pobliską metropolią, albo zalegających przyszłych metropolii. Dalekie lokowanie satelitów stwarza problemy transportowe, bliskie — zmienia je w pierścień przedmieść i w konsekwencji powstaje „plama”. Nanizywanie satelitów na szlaki komunikacyjne szybko zmienia je w „palce”. Te niedostatków sprawiły, że wariantu satelitarnego nie wzięto pod uwagę w planach rozbudowy Warszawy.

W tej sytuacji na planie boju pozostał system linearny, korespondujący z koncepcją zagospodarowania przestrzennego Polski, proponowaną przez prof. Hansena. System ten lokuje zabudowę miejską wąskim pasem wzdłuż jednego kierunku komunikacyjnego.

Daje to dobre warunki życia w kontakcie z przyrodą, a brak sąsiednich pasm zapobiega rozrastaniu się na boki. Wielkie miasto budowane na wzór wsi-ulewki zamienia się jednakże w wąską o długości dziesiątków kilometrów. Na mapie będzie to wyglądało dosyć niewiele, ale nie powinno w takim mieście wynikać kłopoty komunikacyjne, mimo ogromnych odległości. Fachowcy twierdzą, że łatwiej jest zapewnić bardzo szybki i bardzo wydolny transport na jednym kierunku niż zorganizować sprawną sieć komunikacyjną w bardziej skomplikowanym układzie.

Można być pewnym, że po jakimś czasie praktyka wykaże szereg mankamentów również i tego systemu i zapewne pojawi się nowy, jeszcze lepszy. Ale tak będzie zawsze, a do rozbudowy miasta trzeba przystępować już teraz. Budowa bezplanowa jest gorsza od najgorszego planu, więc nie wchodzi w rachubę. Trzeba zatem przyjąć tę koncepcję, która w danym momencie jest najlepsza, godząc się z tym, że w roku 1990, kiedy zrealizujemy dziś opracowywane plany, będziemy znacznie mądrzej i będziemy wiedzieli, że byłoby i inne możliwości. Dziś ich, niestety, nie widać.

KIERUNEK — PÓŁNOC

Mając koncepcję, należałoby określić miejsce jej realizacji — wybrać kierunek, wzdłuż którego Warszawa powinna się rozwijać. Wiadomo było, że powinien to być jeden z istniejących szlaków komunikacyjnych, obudowany już jakąś infrastrukturą. Zresztą pustych terenów poza Puszcą Kampinoską wokół Warszawy już nie ma.

Stosunkowo najbardziej zurbanizowany jest szlak południowo-zachodni, wiodący przez Ursus, Piaseczno, Pruszków, Miłanówkę, Grodzisk, Żaradów. Ale zabudowa tam jest zdecydowanie zła, przemysłu du-

żo, a przy przeważających u nas wiatrach równoleżnikowych całe to pasmo narażone jest na wylewy. Brak też jest atrakcyjnych terenów rekreacyjnych w bok od tego szlaku, a zaludnienie tych okolic dość duże. Zresztą w kierunku południowym i zachodnim wychodzi z Warszawy cały pęczek szlaków, więc nawet gdyby inwestowano tylko wzdłuż jednego, trudno byłoby zwalczać skłonność do powstawania wspomnianej wyżej „błony” budowlanej pomiędzy nimi. W nieco mniejszym stopniu te same mankamenty występują na kierunkach wschodnich. I tu i tam zaś jednakowo ostro występuje problem wody i odprowadzania ścieków — trzeba by ciągnąć rurociągi i kanały na wielkie odległości.

Tych wszystkich niedostatków nie będzie, jeśli się pasmową zabudowę Warszawy lokuje wzdłuż Wisły. Do tego dochodzi atrakcja, jaką dla wszelkiej zabudowy jest duża rzeka i związane z nią bardziej urozmaicone ukształtowanie terenu.

Rozbudowa w górę Wisły nie wchodzi w rachubę. Są tam tereny zbyt cenne dla rolnictwa i rekreacji, a w przyszłości zapewne i uzdrowiskowe, aby je przeznaczać pod miasto. Ursynów, Stegny, ewentualnie Wilanów, a na prawym brzegu może pasmo gołkowskie, to już i tak dużo. Pozostaje więc budować w dół Wisły i to nie na lewym brzegu. Tam bowiem rozwój miasta dość skutecznie blokuje Huta „Warszawa”, a intensywna zabudowa pasa między Wisłą i Puszcą Kampinoską groziłaby zniszczeniem tejże.

Tak więc, jako jedyny i optymalny pozostał kierunek rozwoju miasta wzdłuż prawego brzegu Wisły, z Żerania, na Legionowo, Nowy Dwór i Modlin, który w 1990 roku ma się stać północną dzielnicą Warszawy. W dalszej przyszłości pasmo miejskie być może rozciągnie się jeszcze dalej, na Wyszogrod i Płock, ale na razie mamy w planie tylko na najbliższe piętnastoletie.

Z przewidywanych 750 tysięcy nowych mieszkańców WZM aż pół miliona ma być ulokowanych na tym północnym kierunku. Sto tysięcy ludzi mieszka na tych terenach już teraz, lecz mieszka przeważnie źle. Dlatego też trzeba tam zbudować miasto dla co najmniej 600 tysięcy ludzi. Co najmniej dlatego, że projektanci uwzględniali na rok 1990 nie założone 3 miliony, lecz 3,25 miliona mieszkańców aglomeracji. Jeśli wystąpią bardzo prawdopodobne odchyłki od szacunku w górę, nie będzie zaskoczenia, jeśli nie, lub będą mniejsze, zawsze łatwiej jest zredukować program niż go na bieżąco rozszerzyć.

Plany te łączą się z planami rozbudowy komunikacji. Przesadzona już jest sprawa budowy wielkiego międzykontynentalnego lotniska Wrona, na północ od Modlina, które powinno przyjmować samoloty już w 1985. roku. To nie taki długi okres, jeśli będziemy pamiętać, że tylko dworzec międzynarodowy na Okęcie budowano dziewięć lat. Rozbudowa sieci kolejowej i drogowej sprawi, że w tej okolicy powstanie drugi, obok istniejącego już w obecnej Warszawie, centralny węzeł komunikacji lądowej o międzynarodowym znaczeniu.

To wraz z lotniskiem sprawi, że w Modlinie, a właściwie to już „na Modlinie” powstanie drugie — jeśli nie konkurencyjne w stosunku do obecnego — centrum, to w jakiś

sposób równoważące jego funkcje. Centralne ośrodki polityczne kraju zostaną, gdzie są. Nowa część nie będzie też miała historycznego charakteru, ale tam właśnie mogą działać instytucje gospodarcze, zwłaszcza związane z handlem zagranicznym. Sprzyjać temu będą zaprogramowane tereny wystawowe w dzisiejszym Kazuniu naprzeciw Modlina, jak i nowe tereny przemysłowe, których dziś tak już brak w Warszawie, a które projekt lokuje również na północnym kierunku. Wiadomo na razie, że po roku 1980, FSO zamierza postawić nowy zakład dla produkcji nowego typu samochodu, i że po zapoznaniu się z nowymi planami zrezygnowano z dekompletacji jeszcze koncepcji postawienia go w Wyszogrodzie, na rzecz okolicy Legionowa.

Taki charakter Modlina pociągnie za sobą powstanie wielkich nowoczesnych hoteli i ośrodków handlowych. Będą tam też instytucje kulturalne o „stolecznym, ogólnopolskim znaczeniu”. Przewiduje się również, że niezależnie od centrum naukowego na Sękierkach i na północnych krańcach WZM powstaną ośrodki naukowe i wyższe uczelnie. Być może tam też lepiej poczułyby się władze wojewódzkie.

Ale Modlin to nie satelita, lecz zakończenie pasa ciągłej zabudowy o szerokości mniej więcej jednego kilometra. Nie będzie to żaden ciąg osiedli, lecz w pełni wielkomiejska struktura, dość intensywna, nowoczesna, pełna rozmachu, z zapleczem socjalnym, handlowym, usługowym i kulturalnym na poziomie również wielkiego miasta i to nie jego peryferii. Zagęszczenie tej zabudowy wyniesie ma 10 tys. ludzi na jeden kilometr kwadratowy, przy 15 tys. w śródmieściu. Mieszkanie tego pasma w górę i w dół będzie miało ciągnąć się kilometrami wielkie miasto, natomiast parceset metrów lub mniej w bok — i trafia na tereny zielone. Nie skwery czy parki, lecz mniej więcej „regularną przyrodę”. Na prawo są to tereny wychodzące na Bugo-Narwę, Zalew Zegrzyński i Kanał, na lewo — za wąskim, zielonym pasem — na Wisłę, a za nią (liczne przeprawy) znowu tereny zielone z Puszcą Kampinoską.

Osią planowanej zabudowy będzie szlak komunikacyjny. Ma nim kursować szybka kolej miejska, łącząca w 40—45 minut lotnisko Okęcie, przez dzisiejsze śródmieście Warszawy z lotniskiem Wrona. Równoległe ma przebiegać linia metra ze znacznie większą ilością przystanków i mniejszą szybkością przelotową, służącą do ruchu lokalnego między przystankami szybkiej kolei. Przewidywana też jest arteria szybkiego ruchu (niezależnie od obecnej szosy na Gdańsk) i transport autobusowy. Linia szybkiej kolei nie będzie się pokrywać z pasmem zabudowy, lecz przecinać je tam, gdzie mają być stacje. Metro i arteria powinny przebiegać środkiem pasma. W ten sposób transport „podłużny” odpowiednio szybki i intensywny wykluczy konieczność transportu „poprzecznego”, poza być może liniami autobusowymi. Od magistrali do krańca zabudowy nie będzie więcej niż pół kilometra. Przy tym typie wąskiej zabudowy nie powinno też być wię-

szych kłopotów z lokowaniem parkingów na jej brzegach.

W ten sposób zaprojektowane miasto, a właściwie rdzeń aglomeracji będzie czymś bardzo niekonwencjonalnym, ale — teoretycznie przynajmniej — wygląda zachęcająco. Można się oczywiście zastanowić, czy w ogóle ma sens, aby miasto, twór cywilizacji mający swój uświęcony kształt i tradycje, budować w tak wykoncypowany sposób, ale w zestawieniu z rzeczywistością cały ten projekt zaczyna wyglądać na wymuszony przez obiektywne warunki. A zresztą, nie jest to Brasilia, pomysł przekształcony w miasto, lecz Warszawa, miasto potrzebujące pomysłu.

KOMPROMISY KONIECZNE I NIEKONIECZNE

Rok temu, kiedy projekt tu opisany był jeszcze w dużym stopniu koncepcją, jedną z czterech zresztą, robił wrażenie bardziej klarowne i jednolite. Teraz, kiedy przekształca się w bardzo już konkretny plan, musi w coraz większym stopniu dopasowywać się do istniejącej rzeczywistości. Stąd nieuniknione odstępstwa i kompromisy. Z rysunków widać wyraźnie, że miasto nie będzie niepostrzeżenie przechodzić z dzisiejszej Pragi w pasmo legionowsko-modlińskie. FSO, elektrociepłownia, port żerański, tarchomińska „Polfa”, cementownia muszą przerwać pas wielkomiejskiej zabudowy. Być może kiedyś, raczej w następnym wieku, usunie się te obiekty, tak jak dziś likwiduje się stare fabryczki w śródmieściu, ale w dającej się przewidzieć przyszłości jest to ciągle jeszcze kawał majątku narodowego nie do ruszenia. Podobnie rozbudowany zakład „Pollen” w Nowym Dworze, dość uciążliwy dla otoczenia. W stanie nie naruszonym zostać mają też tereny nad Bugo-Narwią, od zapory w Dębem aż do ujścia, tak że dzielnica Modlin nie będzie bezpośrednio zbyt ściśle połączona ciągłą zabudową z pasmem dochodzącym do Nowego Dworu.

Odpadła też, brana rok temu pod uwagę, koncepcja jednego frontu robót posuwającego się stopniowo od Żerania do Modlina, co by bardziej usprawniło zadania wykonawców. Byłby to jednak front zbyt wąski i zbyt powolny w stosunku do ogromu zadań. Trzeba brać się za budowę z kilku miejsc, a prawdziwie wielki ruch budowlany zacznie się w roku 1978 w Legionowie.

Takie są główne odstępstwa od pierwotnych założeń. Na te kompromisy nie ma rady, na inne by się może znalazły.

Kiedy pisaliśmy o tym rok temu *) sytuacja była zresztą o wiele bardziej skomplikowana. Istniały obawy, że zadania następnego planu

pięcioletniego dla Warszawy zostaną wyznaczone przed przyjęciem planu perspektywnego dla WZM na lata do 1990. roku. Założenia planu perspektywnego zostały już jednak w międzyczasie przedstawione Komisji Planowania i gdy plan za kilka miesięcy będzie gotowy, rozpoczyna się prace projektowe. Przyszła pięcioletka w Warszawie i na terenie WZM będą się już mieścić w planie perspektywnym.

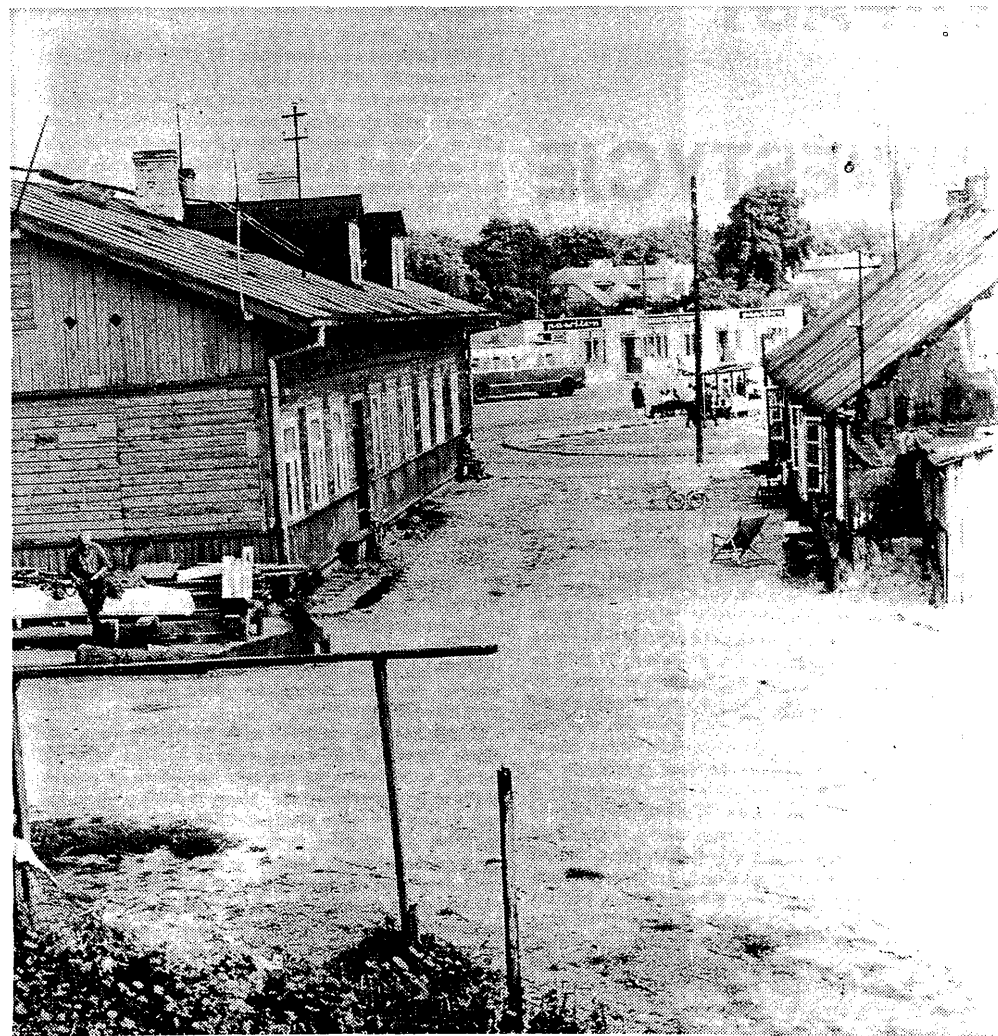
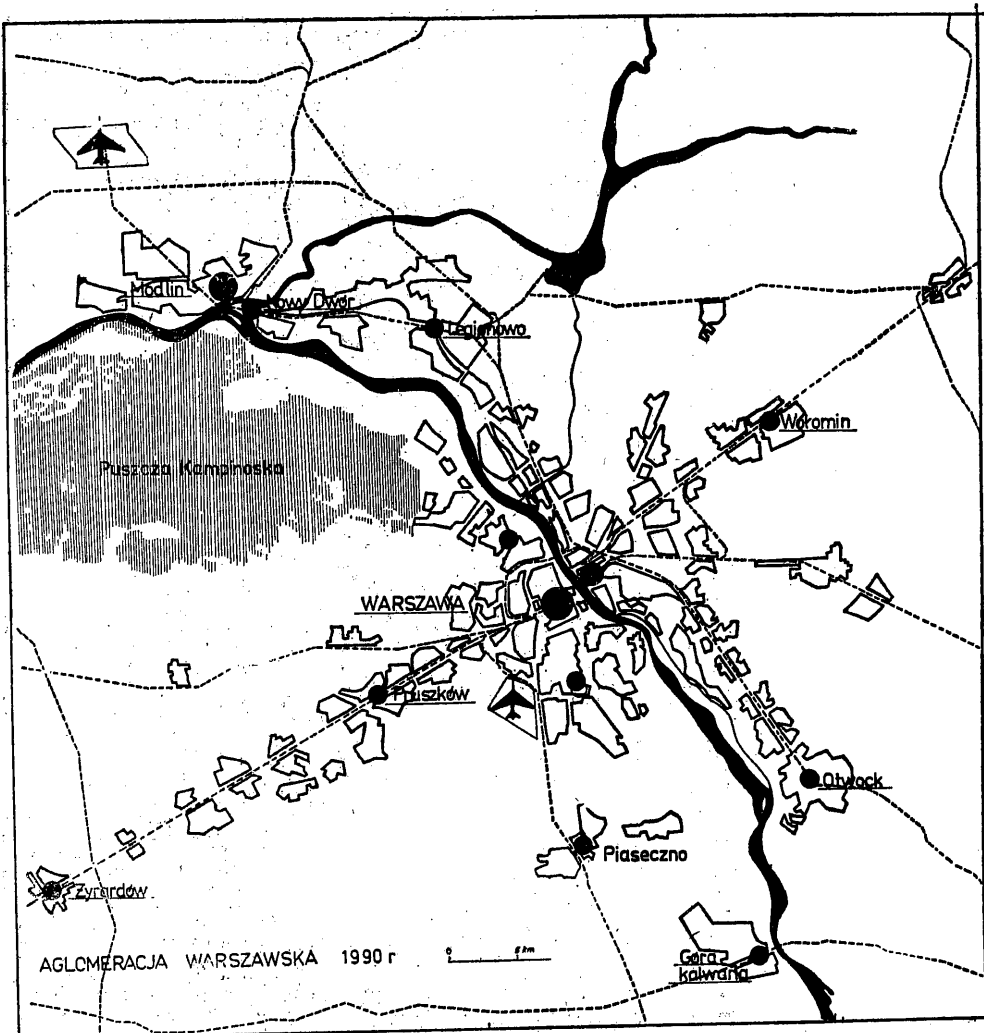
Prezydent Warszawy i wojewoda województwa warszawskiego zawarli porozumienie, które upoważnia stołeczne Biuro Planowania Rozwoju Warszawy do opracowania planu dla WZM. Bezpośrednio zajmuje się tym w Biurze Zespół Aglomeracji, w którym pracuje grupa autorów przedstawionej wyżej koncepcji. Jeśli jednak planowanie perspektywiczne jest wspólne, to na krótszą metę województwo i stolica budują jeszcze oddzielnie. Województwo nie bardzo może czekać z budową, aż plan perspektywny będzie gotowy i na jego podstawie zrobione zostaną konkretne projekty. W Legionowie, które w najbliższych latach będzie węzłowym punktem na północnym kierunku, przystępuje się do prac częściowo według wcześniejszych projektów. Może się okazać, że nie będą one pasować do planu całościowego. Tak na przykład zanosi się, że w tym rejonie główny szlak komunikacyjny przejdzie nie środkiem, a bokiem pasma, co zwiększy konieczność dochodzenia doń z 500 do 1000 metrów lub spowoduje konieczność puszczania drugiej drogi drugim skrajem zabudowy.

Takich spraw może wynikać więcej, jeśli planowanie, projektowanie i wykonawstwo dla WZM, a zwłaszcza na owym północnym kierunku nie pozostanie ujednoliconie organizacyjnie. Łączy się to z trudnym i kontrowersyjnym problemem administracyjnym, z koniecznością jednolitego zarządzania całą aglomeracją. W praktyce będzie to chyba oznaczało — jeśli nie znajdzie się inne rozwiązanie — włączenie większości powiatu nowodworskiego do Warszawy. W województwie nie wszyscy chcą oddawać tereny, w Warszawie nie wszyscy — brać, twierdząc, że dość jest jeszcze burzanów w śródmieściu. Prędzej czy później jednak, problem ten będzie musiał być rozstrzygnięty, więc lepiej — prędzej.

Są to wszystko sprawy drobne w skali całego przedsięwzięcia i załatwialne, jak wykazuje dotychczasowa praktyka. Lecz przedsięwzięcie jest tak wielkie i tak wiele wymaga inicjatywy i energii, że szkoda tracić ją na pokonywanie niepotrzebnych oporów.

ERNEST SKALSKI

*) „Warszawskie perspektywy”, Z.G. nr 33/1973.



Centrum Modlina — dziś.

Fot. A. JALOSINSKI.

RYBY I SCHABOWE KOTLETY

WŁADYSŁAW
DANISZEWSKI

Dodanie do paszy jednego kilograma koncentratu białkowego daje przyrost żywca wieprzowego o 1,91 kilograma. Badania przeprowadzone w 1248 poznańskich gospodarstwach rolnych wykazały, że podniesienie koncentracji białka w paszy z 6,49 proc. do 9,48 proc. pozwala zmniejszyć zużycie pasz na jeden kilogram żywca wieprzowego z 5,9 do 4,0 jednostek owsianych. Głównym źródłem białka pochodzenia zwierzęcego jest mączka rybna.

POLSKA, choć dla rozwoju hodowli potrzebuje niemałych ilości mączki rybnej (jesteśmy szóstym krajem na liście światowych importerów mączki rybnej), nie prowadzi dotąd połowów ryb z przeznaczeniem na pasze. Mączkę rybna wytwarzamy jedynie z odpadów surowca rybnego, otrzymywanych w procesie wstępnej obróbki ryb na stacjach łowczych oraz z tzw. przyłowu, czyli ryb niekonsumpcyjnych, które przypadkowo wpadną w sieci naszych rybaków, albowiem rzadko kiedy stado ryb jest jednorodne.

Z „ubocznej produkcji” na morzu oraz z przetwarzania surowca zdyskwalifikowanego jako konsumpcyjny — na lądzie, otrzymywaliśmy niewystarczające ilości mączki. Dlatego też w planie pięcioletnim założono wzrost importu mączki rybnej.

Wielkość importu mączki rybnej uzależniona jest od rozmiarów hodowli. Ponieważ w ciągu ostatnich lat hodowla rozwijała się dynamicznie, a niekiedy nawet w roku 1971, faktycznie zapotrzebowanie na białko paszowe w kraju jest jeszcze większe. Byłoby dobrze, gdybyśmy dysponowali w 1975 roku 300 tysiącami ton rybnej mączki. Nasze potrzeby musimy jednak konfrontować z możliwościami płatniczymi.

Mimo wzrostu na świecie produkcji mączki rybnej, ceny jej stale rosną. Dlatego więc nie produkujemy sami dostatecznej ilości mączki rybnej? Czy nikt w kraju nie widział takiej potrzeby? Czy nie mamy możliwości?

W roku 1967 dr A. Owsiński w „Studium możliwości rozwoju na wielką skalę produkcji mączki rybnej” (Morski Instytut Rybacki, Gdynia 1967) zakładał produkcję mączki rybnej mniej więcej na poziomie dzisiejszych potrzeb. Program jego nie doczekał się realizacji.

Według dr. Owsińskiego jeden kilogram mączki rybnej wyprodukowany z zasobów bałtyckich kosztowałby 10,65 zł, a z innych, dalszych akwenów — 18 zł. Przy ówczesnych cenach — 150 dolarów na tonę mączki rybnej — tańszy okazał się import. Dziś jednak cena 1 tony mączki rybnej dochodzi do 950 dolarów.

Mączkarnie lądowe, nastawione na surowiec zdyskwalifikowany, płać za kilogram — najczęściej śmiesznie niską cenę surowca — doświadczyliśmy. Stąd produkowanie mączki rybnej na lądzie stało się działalnością wstydliwą i przykłą zarówno dla otcoczenia, jak i dla producentów. Jeśli surowiec pochodzi z odpadów przy produkcji filetów rybnych, mrożonek czy konserw — również płaci się za niego grosze.

Cenę za kilogram krajowej mączki rybnej ustalono więc na podstawie bardzo niskiej ceny surowca

zdyskwalifikowanego. Obecnie nie opłaca się więc poławiać ryb specjalnie na mączkę, choćby to było z największą korzyścią dla gospodarki. Dzieje się tak nawet w okresie niezwyklej obfitości tzw. letniego aspruta na Bałtyku.

Inżynier W. Kalinowski przeprowadził „Studium intensywnego rozwoju produkcji mączki rybnej w Polsce do roku 1985” (MIR Gdynia, 1968). Wykazał w nim konieczność zainwestowania na lądzie urządzeń za 90 mln zł oraz poniesienia wydatków inwestycyjnych na flotę rzędu 34 mln dolarów (razem z nakładami na bazy lądowe), co dałoby 145 tysięcy ton mączki rybnej rocznie. Produkcja uboczna prowadzona na stacjach rybackich, uwzględniając rozwój naszej floty łowczej dla celów konsumpcyjnych, powinna w roku 1985 przynieść 90 tysięcy ton. Łącznie byłibyśmy w stanie zaspokoić połowę naszych minimalnie liczonych potrzeb. Program inżyniera W. Kalinowskiego został pozytywnie zaopiniowany przez specjalistów, zatwierdzony przez ówczesne Ministerstwo Żegluga i... poszedł do kosza. W latach 1968—70 nastąpiły znane wszystkim ograniczenia inwestycyjne.

W bieżącym roku zespół fachowców z ministerstwa, Zjednoczenia Gospodarki Rybnej, Morskiego Instytutu Rybackiego i Akademii Rolniczej w Szczecinie dokonał nowych opracowań. Rozważa się możliwość rozwoju połowów ryb niekonsumpcyjnych z wyłącznym przeznaczeniem na mączkę rybna.

Dla uzyskania potrzebnej ilości mączki niezbędna byłaby odrębna flota trawlerów dalekomorskich. Koszt tego przedsięwzięcia jest znaczny (ok. 25 mld zł), ale w ostatecznym rachunku — opłacalny. Program ten ma szanse realizacji.

Wypada na tym tle wyjaśnić pewne nieporozumienie. Dość powszechne jest przekonanie, że na morzach i oceanach świata zaczyna brakować ryb, stada są przetrzebione, chronione konwencjami, a łowiiska najwydajniejsze zostają zamknięte decyzjami państw nadmorskich. Po wiadomości, że niektóre, że Polska nie może łowić ryb na mączkę, ponieważ występuje na forum międzynarodowym za zakazem połowów mączkowych.

Zaczniemy od przedstawienia stanowiska Polski na forum międzynarodowym. Polska nie występowała nigdy przeciw połowom mączkowym w ogóle. Udowadniałaby natomiast, że w przypadku, gdy połowy mączkowe konkurują z połowami na cele konsumpcyjne, należy przyznać priorytet połowom konsumpcyjnym. Uważaliśmy, że przepisy regulujące i limitujące rybołówstwo powinny za-

wsze ten priorytet uwzględniać. Dotyczyło to na przykład mączkowych połowów śledzi na Bałtyku (Sztokholm 1972 r.).

Kto i co łowi na mączkę rybna? Peru i Chile poławiają małą rybkę masowo występującą u ich brzegów: anchowetę. Kanada na pólnocno-atlantyku przeznacza na mączkę jedną trzecią swych połowów ryb śledziowatych. USA, które połowę połowu ryb przeznaczają na mączkę, przerabiają na nią kalifornijską sardynkę (20 proc.) oraz menhaden (80 proc.) — rybę nie nadającą się do celów konsumpcyjnych, zwaną po łacinie *brevortia tyrannus*, masowo występującą w wodach środkowego Atlantyku. Norwegia poławia na północno-wschodnim Atlantyku aż po Morze Barentsa występujące w wielkich ławicach gromadniki, karliki, śledzie i makrele. Dania — na tych samych wodach łowi z przeznaczeniem głównie na mączkę rybna (80 proc.) śledzie, dobiaki, okowaje i ryby dorszowate.

Połowy ryb na mączkę rybna dokonywane są głównie okrężnicami, sieciami, którymi otacza się stado ryb, dziś już do głębokości 350 metrów. Jest to znacznie wydajniejszy i tańszy sposób łowienia aniżeli sieciami ciągniętymi, wymagającymi maszyn dużej mocy. Okrężnicę rozciągają małe statki zwane sejnierami. Z takiej sieci ryby wybierać można przy pomocy pomp ssących. W skali światowej aż 60 procent połowów dokonuje się okrężnicami. Polska, mimo że jest producentem sejnierów dla innych państw, nie rozwija tej metody połowów. Trudno powiedzieć, skąd wywodzi się nasz tradycjonalizm. Być może stąd, że cała polska flota nastawiona jest na połowy konsumpcyjne. Być może więc rachunek ekonomiczny połowów ryb na mączkę jest zawyżony na skutek nieuwzględnienia innych metod połowu jak tylko włókami. Nasi znawcy przedmiotu preferują statki najbardziej uniwersalne. Włókami można łowić wszystkie gatunki ryb — okrężnicą tylko te, które nie gromadzą się zbyt głęboko. Sprawa jest jednak z pewnością dyskusyjna. Nie sądzę, żeby można było mówić o polskich połowach mączkowych, nie stosując wypróbowanych i coraz powszechniejszych połowów okrężnicowych.

Ostatnia sprawa: zasoby ryb. Gromadnik, którego zasoby oceniają Norwegowie na około 7 milionów ton, występuje nawet do 100 mil od brzegu w ilościach tak znacznych, że z jednego zaciągu okrężnicą wydobywa się go do 150 ton. Tej małej 17-cm rybki nie łowi się do celów konsumpcyjnych. W pobliżu wód terytorialnych Kanady, ale poza ich zasięgiem, w ogóle nie łowi. Od Morza Norweskiego aż po wody hiszpańsko-portugalskie występuje mało znana ryba błękitka (*gadus pautassu*). Radzieckie połowy badawcze na Morzu Norweskim wskazują na jego obfitość w ciągu 260 dni w roku. Na Morzu Północnym, na szelfie cetylickim poza strefą 50 mil wód Islandii, występuje dorszowata ryba: okowiel. Łowią ją Norwegowie i Duńczycy. Dobiak, ryba nie większa niż 17 cm, żyje na wodach szelfu cetylickiego aż po zatokę Biskajską. Poławiają ją Dania, Norwegia, Holandia i RFN. Arktyczna ryba zwana dorszykiem polarnym występuje na Morzu Barentsa, Morzu Białym, Morzu Baffina, w okolicach Spitzbergenu, Grenlandii, Labradoru. Chude i wodniste mięso nie stanowi konsumpcyjnej atrakcji. Nie wiadomo nawet, ile tej rybki może być. Wiadomo, że często występuje w ogromnych ławicach.

Długo można by tak wylizać. Współcześnie żyje 20 tysięcy gatunków ryb. Zaledwie 200 poławia się do konsumpcji, z tego osiem awansowało w połowach przemysłowych do rangi ozdoby stołu. Nie ryby brakują, ale naszego zdecydowania! To pięknie, że rozwinięliśmy i mamy zamiar rozwijać połowy ryb konsumpcyjnych. Trzeba jednak popatrzeć na rybołówstwo jako na część gospodarki żywieniowej i ocenić jego rolę w całokształcie bilansu białkowego.



Fot. A. JAŁOSINSKI

POWSZEDNIOŚĆ SMAKUJE ROZMAIACIE

ANDRZEJ LUBOWSKI

MURY tu stare, mocno przedwojenne. Od razu widać, że stare. Nie, żeby były brudne. Odmalowane, jak należy. Przeważnie na żółto. Dziw, że się nie sypia. Nawet do kierowników chodzi się po wąskich, skrzyplących schodach. Za to maszyny są nowe. Najlepsze, albo prawie najlepsze. W Europie mało kto ma takie, ale pończochy lepsze — robi wielu.

Ludzi w „Feniksie” z górą dwa tysiące. A że dziesięć lat, to wiadomo — kobiety. Co rok więcej starszych. Młode się do tej pracy nie palą, choć płacą nieźle. Szewczka ma trzy i pół. Najgorsze — to te trzy zmiany. Niektórzy maszyn wyłączać na noc nie można. O ludzi wszędzie coraz trudniej, część idzie do innych fabryk, gdzie lepiej. Te, które dojeżdżały, znajdują robotę bliżej domu. Boją się tej trzeciej zmiany. Młode chciałyby z chłopakiem na zabawę, matka nie skora zostawiać dziecka na noc samego. To, co robiły tu przed wojną, mówią o młodych, że kapryśne.

No i okolica „podkupuje”. Przyciągają nowe fabryki, co świecą z daleka neonami. Ładne, nowoczesne, z zaplecem. „Feniks” nawet stołówek nie ma własnej. Niedługo się poprawi. Nowe mury już stawiają. Szykuje się przeprowadzka. Co dziś stoi, pójdzie pod kilof.

Takie lato, jak tego roku to jeszcze nie, ale jak w normalnym lipcu po bożemu przygrzeje, w hali — dobre 50 stopni. Kobiety fartuch wkładają i nie więcej. Jak chłop jakiś idzie, to krzyczy najsamprzód, że wchodzi. Wentylacja niby jest, ale taka, jakby jej nie było. Też stara, w nowych murach będzie nowa. Przerwy trzeba robić na jakiś kwadrans, silniki zatrzymać, mury wodą polać. Spiekota taka.

„Feniks” nigdy nie miał własnego obiektu czasowego. Teraz, gdy dostali środki na nowe mury, to przy okazji znalazło się 40 milionów na ośrodek wypoczynkowy. Lokalizacja już jest — Polanica Zdrój. Tam musi być obowiązkowo czasowo-zdrowotny, a nie czasowy, inaczej nie zatwierdzą. Chcieli zbudować dom taki, jak górniczy „Zagroń” w Szczyrku. Z basenem. Górniczy odstąpił dokumentację. „Feniks” znalazł wykonawców i wówczas okazało się, że „Zagroń” postawili z cegły, a teraz nie da rady inaczej, tylko z prefabrykatów. Co będzie dalej — nie wiadomo. Póki co, duża część załogi wypoczywa w wynajmowanych przez zakład kwatery prywatnych nad

morzem, część w domach FWP. Jest jeszcze branżowy ośrodek dla urlości w Sulejowie, ale tam mało reflektantów. Własny dom, to jednak całkiem co innego. Bo to i wieczorek taneczny i telewizja, ping-pong, chinchik, pchełki i w ogóle inna jakość.

Co roku 150 pracowników dostaje wnioski lekarskie na leczenie sanatoryjne. Jedzie tylu, ile „Feniksowi” miejsc dają, czyli mniej. A ludzie chorują więcej niż dawniej. Nic dziwnego, starzeją się, a niektórzy mówią, że teraz choroba to już nie taki luksus. Płacą jak za robotę, to i chorują ludzie więcej. A zresztą, jak kobieta w ciąży i narzeka — to który lekarz będzie ryzykował.

Największa bieda z ludźmi do roboty latem. Co drugi chciałby na urlop w lipcu albo w sierpniu. A nad głową wisi plan. Fakt, że niższy latem, niż w takim marcu czy listopadzie, ale nie aż tak bardzo. A jednak plan się zwykle wykonuje. Dobry majster ma swoje sposoby. Musi wiedzieć, jak żyć z ludźmi. Inaczej — kiepski to majster. Wie kto, gdy potrzeba, popracuje tydzień czy dwa za dwóch.

Natura ludzka kolata się między uczuciami tak ustalonymi, jak obojętność i entuzjazm. Na co dzień trudno o entuzjazm, ale szczęściem rzadka jest i obojętność.

Pewnie, że ludzie robią dla pieniędzy. Ale nie tylko. Są tacy, najczęściej ci, którzy dłużej pracują na jednym miejscu, co spoczą się ekstrą, nie dlatego że frajerzy, ale choćby po to, ażeby widział „nie dał plamy”.

A w ogóle lebski majster nie puści wszystkich najlepszych latem na urlop. Jego sprawa, jak to robi. Taki, co nie pójdzie, nie będzie sobie krzywdzić. Majster pamięta o człowieku.

Latem ludzi mniej, a robota idzie. Jak dobrze policzyć, to wydajność nawet lepsza, niż normalnie. Zeszłego roku w sierpniu na przykład wyższa była niż w innych miesiącach. Znaczący się są rezerwy?

Tego nie lubią. Jedno niezręczne słowo „rezerwa” i już można nie usłyszeć ani zdźbła prawdy. Stare, pro-

dukcyjne wygi nie kochają tego słowa. Z miejsca weszła podstęp. Życie uczyło, żeby zawsze mieć coś w zanadrzu. Teraz ważą słowa, starannie je dobierają. Zaczyna się dyplomacja. Mówią, a jakby gazetę czytała.

— My tam, redaktorze, na każdy apel nie żalujemy i podejmujemy zobowiązania.

To prawda, nie żalują.
— Ale o jakich rezerwach mowa? Co z tych cholernych starych murów można jeszcze wycisnąć?

W lipcu wykonano plan ilościowy. Ale nie jakościowy. Gatunki były gorsze, niż w planie. Tyle, że to już nie ich wina. Surowiec przychodzi z importu dobry. Nim trafi do „Feniksa”, trzeba go jeszcze „skędzić-zrąwić”. To robi „Syntex” w Łowiczu.

„Syntex” ma nowe mury i nowe maszyny. „Syntex” ma młodą załogę. Sporo młodych fachowców, inżynierów, poszło do Łowicza z „Feniksa”. Niejeden już odszedł. Ludzie tam pracują nie tak. Nie czują fabryki. A fabrykę trzeba czuć. Inaczej kiepsko robota wychodzi. W Łodzi przed wojną dziewczyny metryki fałszowały, żeby przedrzeć do fabryki przyjeźli. Tam się robotę w fabryce szanuje. W Łowiczu dopiero się tego szacunku uczą.

Gdyby półprodukt przychodził do „Feniksa” lepszy... Godzą się, że rezerwy są. Tyle, że nie u nich.

Nitka musi mieć swoją grubość; ani więcej, ani mniej. Gdy za gruba, to widać w pończosze — musi być równa. Kiedy schodzi z maszyny, to idzie między dwoma nożykami. Grubość nie ta, co potrzeba — nitka won. Jak która robotnica w „Syntexie” wyjmie nitkę spodniędzy nożyków, to jej szybciej robota pójdzie. I zarobi lepiej, bo to na wagę. A potem w „Feniksie” pończochy pierwszego gatunku zrobić się już z takiej nitki nie da.

Dziś pończochy i rajstopy robią takie, że jak nogi nie dotkniesz, to nie wiadomo — goła czy nie. Takie cienkie. Na sali w „Feniksie” siedzi manicurzystka. Piluje kobietom paznokcie, żeby się zaczęły na pończochach nie porobiły. Ale opakowań przyzwolonych jak nie było, tak nie ma. Torebki pakowaczka bez dmuchania „nie” dźwiorzy. No i wygląda towar nie tak, jak się należy. W komisie — byle barachło w środku, a z wierzchu — miód.

Z Poznania wrócił „Feniks”, „nieobłożony”. To znaczy handel nie zamówił u nich tyle, ile potrafili wyprodukować. Rynek chce innych towarów, takich, jakich dotąd nie robili. Maszyna stać beczynnie nie może. Bo to nie wychodzi na zdrowie dyrektorskiej marce i na górę i u ludzi.

W dwa miesiące miejscowe „złote rączki” znalazły wyjście z sytuacji. W „Feniksie” pogłównkowali, pogłównkowali i bach — jest. Maszyna niby ta sama, a robi to, co rynek weźmie z pocałowaniem w rękę. Rusza produkcja, sygnalizuje zamówienia handlu. Pęcznieją fabryczne magazyny. Nie bardzo jest gdzie to dalej upychać, bo sprzedać — na razie nie można. 120 tysięcy par pończoch — nowości, czeka już drugi miesiąc na zatwierdzenie ceny. Na upartej handel może zażądać od „Feniksa” kar za niewywiązanie się z umów. Kto tam wie, czy w październiku te pończochy pójdą. Moda zmienia się szybko. Ludzi w „Feniksie” szlag trafia.

Można by pójść śladem porządnej roboty i partaniny, sprawdzić zarzuty stawiane jednym przez drugich. Wszędzie znajdują się zgrabne albo prymitywnie wykrętnie tłumaczenia. Trzymam zakład, że niejedno wynika z przyczyn „prawdziwie obiektywnych”. Czy ludziom w „Feniksie” będzie łatwiej, gdy je poznają? Może tak, a może wcale.

W starych murach — nowe maszyny. Niedługo przeprowadzka. Nowe maszyny staną w nowych murach. Będzie klimatyzacja i stołówka. Do gabinetów poprowadzą mury schody z emaliowaną poręczą. Może zaświeci neon. Ale rytm pracy fabryki mało się zmieni. Jak zwykle jednym coś wyjdzie, inni schrzanią. Komuś przypną medal, a komuś pojadą po premii.

„Rytm życia fabryki, robotników, niebezpiecznie jest ignorować; zrozumiemy — dają mądrość”. Gdzie to czytaliśmy? Nie mogę sobie przypomnieć. Zresztą nieważne gdzie. Ważne, że pasuje.



Fot. S. ZUBCZEWSKI

AUTOKLOPS CZYLI O KŁOPOTACH Z USŁUGAMI

ANDRZEJ NAŁĘCZ - JAWECKI



Warsztatki samochodowe przypominają prowizoryczne kurniki. Można je było tolerować w okresie dekawki, ale nie można się na nie zdać w okresie eksplozji indywidualnej motoryzacji.

WARSZAWIACY posiadają 90 tys. samochodów osobowych. Auta trzeba konserwować i reperować. Przyjęte jest ogólnie, że jeden samochód wymaga średnio 20 godzin obsługi eksploatacyjnej rocznie. Zatem stacje obsługi powinny dysponować „mocą przerobową” rzędu 2 milionów roboczogodzin.

Tymczasem mamy w stolicy zaledwie 9 stacji POLMOZBYTU, 9 stacji Stołecznego Przedsiębiorstwa Usług Motoryzacyjnych PT, 1 stację PZMot, 1 stację CPN i... prywatne warsztaty samochodowe. Dodajmy: Izba Rzemieślnicza alarmuje, że w latach 1974—1975 zaprzestanie działalności usługowej kilkadziesiąt prywatnych warsztatów samochodowych.

A więc faktycznie kłops. Tym bardziej, że według prognoz liczba pojazdów samochodowych w Warszawie co najmniej podwoi się w nadchodzącym pięcioleciu.

ACZY zaplecze usługowe stolicy, ma rzeczywiście pod swoją pieczę tylko owe 90 tys. samochodów osobowych? Fachowcy twierdzą, że znacznie więcej. Przede wszystkim dlatego, że do stołecznych zakładów przyjeżdżają użytkownicy z całego województwa (zarejestrowanych jest tam 40 tys. samochodów osobowych), z tej prostej przyczyny, iż baza usługowa w terenie jest jeszcze szczuplejsza i gorzej wyposażona. A jeśli uwzględnimy krajowy i międzynarodowy ruch turystyczny, to na pewno można owe 90 tys. powiększyć o kilkanaście procent.

Warto też pamiętać, że wielu użytkowników samochodów zrażonych

kłopotami ze znalezieniem wykonawcy bądź długim terminem wykonania usługi rezygnuje ze zlecenia tej uspołecznionej bądź rzemieślniczej stacji. Wykonują ją samodzielnie lub zlecają pokątnym „fachowcom” — w obu przypadkach naprawa jest amatorska. Gdyby więc doliczyć „usługi zaniechane”, to faktyczny deficyt usług motoryzacyjnych zarysowałby się jeszcze wyraźniej.

Ogólna liczba stacji obsługi i warsztatów rzemieślniczych niewiele jeszcze mówi. Ważna jest ilość stanowisk pracy oraz ich wyposażenie i czas pracy.

Trzeba jednak od razu wyjaśnić, że część z nich unika usług eksploatacyjnych, specjalizując się w naprawach gwarancyjnych, wulkanizacji itp. Dla przykładu: usługi eksploatacyjne nie stanowią nawet 30 proc. ogółu usług wykonywanych przez „POLMOZBYT”.

Rzemieślniczych warsztatów świadczących usługi motoryzacyjne mamy w Warszawie 450. Są wśród nich duże, wyspecjalizowane, ale są też i jednostanowiskowe — ot, stary garaż przekształcony na warsztat. Przyjmuje się, że jeden warsztat średnio ma 1,7—2 stanowisk. A więc rzemieślnio dysponuje, licząc już z górą, około 900 stanowiskami.

— Szacujemy — stwierdza specjalista od usług motoryzacyjnych Urzędu m. st. Warszawy, mgr inż. Grzegorz ŁAPIŃSKI — że tylko ok. w 75 procentach zaspokajane są po-

trzeby. Jeszcze stosunkowo najlepiej, jest z usługami związanymi z mechaniką pojazdową. Gorzej jest już w blacharstwie. Najgorzej z lakiernictwem i z myciem samochodów.

ZASTANÓWAMY się nad przyczynami tego stanu rzeczy i rozważamy, czy nie istnieją szanse wyjścia z tego impasu.

Wspomniany alarm Izby Rzemieślniczej opiera się w głównej mierze na statystyce przydziałów lokalizacyjnych. Otóż znaczna część warsztatów mieści się w pomieszczeniach prowizorycznych, bądź w budynkach przeznaczonych do rozbiórki. Stolica ostatnio rozbudowuje się dynamicznie i nikt nie kępuje się przy likwidowaniu jakichś tam warsztatów. I słusznie! Ale w sumie uszczupla się wcale pokaźną bazę.

Jest to zjawisko, które dotyczy nie tylko rzemieślników. Prawie 50 proc. stacji obsługi SPUM spotkać można podobnie podobny los: Na Stęgnach, przy ul. Wilanowskiej stacja wyrugowana będzie z powodu rozbudowy ośrodka rekreacyjnego. Przy ul. Wołomińskiej zakład SPUM nie zostanie się z kolei wskutek budowy Trasy Toruńskiej, itd.

Zlikwidowanie stacji bądź warsztatu — uznaję oczywiście wszystkie wyższe racje — jest sprawą stosunkowo prostą. Ale odtworzenie, już niestety, tak proste nie jest. Przede wszystkim trudno jest uzyskać lokalizację.

I w tym miejscu trzeba wspomnieć o problemie natury nieco ogólniejszej. Z grubsza rzecz biorąc, miasto składa się z ulic i osiedli. Te ostatnie projektowane są z reguły z osobną, niezależnie od siebie. W ogólnej koncepcji wielkomiejskiego osiedla rezerwowane jest miejsce na przedszkola, żłobki, szkoły, kluby, lokale gastronomiczne, sklepy itd. Ale brakujące miejsca na warsztat samochodowy, czy stację obsługi. A więc rezultacie gdy „poukłada” się osiedla koło siebie, okazuje się, że na terenie całych dzielnic nie ma zarezerwowanego miejsca na stację obsługi samochodów.

Oczywiście, można się zgodzić z tezą, że placówki te są uciążliwe dla otoczenia i nie powinno się ich budować w osiedlach mieszkaniowych, ani w pobliżu takich osiedli. Lakiernie czuć, zakłady blacharskie czy mechaniki pojazdowej hałasują, itd. Racja.

Ale z kolei rzemieślnicy niezbyt chętnie biorą lokalę przy jakichś bocznych uliczkach dalekiego przedmieścia. Teoretycznie rzecz biorąc, dojechanie kilku kilometrów nie jest dla posiadacza samochodu większym problemem. Ale życie...

Wydaje się, że na uporządkowanie tych spraw nadszedł już czas. Urbanisci powinni w coraz większym stopniu uwzględniać motoryzację z całym jej bagażem, jak właśnie omawiane stacje obsługi, warsztaty, naprawy, garaże. Trzeba jakoś pogodzić sprzeczne interesy właścicieli czterech kółek (będących w mniejszości) z interesami ogółu.

Wydaje się, że warto byłoby opracować ogólny dla całego miasta plan rozlokowania rzemieślniczych warsztatów świadczących usługi dla „motoryzowanych”. Wiadomo, że nie stać ich będzie na inwestycje duże, kapitałochłonne. Sieć taka powinna powstać choć na papierze, by była jasność, gdzie kto może i kto będzie mógł stawiać fachowe punkty usługowe.

Uspołecznione firmy, mające mniejsze kłopoty z uzyskaniem lokalizacji, mają z kolei wielkie kłopoty ze znalezieniem wykonawcy. Wspomniany już SPUM wytoczył sobie program „co roku nowa stacja”. Jak wygląda realizacja tego planu?

PIERWSZĄ uruchomioną we wrześniu br. miała być stacja na Służewcu, przy ul. Wyciągowej. Zaprojektowano 15 stanowisk, koszt 15-16 mln złotych. Traktowana była jako inwestycja priorytetowa. Ale wykonawca, „Dźwigar”, ma też inne priorytety. Efekt: w najlepszym przypadku oddana będzie w kwietniu 1975 roku.

W 1975 roku miano oddać stację 10-stanowiskową przy ul. Staniewickiej na Żoliborzu. Nic nie zaczęło robić — sprawa jest na etapie przetargów z wykonawcami. Miał ją stawić MPRB-5, ale broni się, jak może. A więc już na pewno wiadomo, że nie przybędzie tych 10 stanowisk w roku przyszłym. I tak oto załamał się ambitny program inwestycyjny SPUM, jednej z większych uspołecznionych firm.

! Ale błędem byłoby przyjąć, że tylko inwestowanie może sytuację poprawić. Oczywiście, jest to sprawa najważniejsza, ale...

Znów wróćmy do rzemiosła. Dysponuje ono 900 stanowiskami, tzn. ma więcej niż firmy uspołecznione, ale przyjmuje się, że rzemieślnicy wykonują tylko 50 proc. całości obsługi eksploatacyjnych. Dlaczego? Głównie dlatego, że prywatne zakłady pracują w znakomitej większości tylko na jedną zmianę, i oczywiście są gorzej wyposażone od stacji firm uspołecznionych.

Okazuje się, że przepisy finansowe skłaniają rzemieślników do pracy na 1 zmianę lub ewentualnie na tzw. wydłużonym dniu pracy. Nie wnikając w szczegóły — nie opłaca się prowadzić dwóch zmian. A więc jest rezerwa; gdyby były bodźce, warsztaty rzemieślnicze mogłyby wykorzystywać lepiej stanowiska pracy. Manewr taki pozwoliłby na bezinwestycyjne zwiększenie „mocy usługowej”.

W połowie br. podjęto pewne próby załatwienia tej sprawy tzw. „metodą obejściową”. Otóż zaczęto zezwalać na rejestrację dwóch rzemieślników na 1 warsztat. Ale sposób ten, moim zdaniem, nie ma chyba szans powodzenia, bowiem trudno o długotrwałe, bezkolizyjne egzystowanie dwóch zmienników pod jednym dachem. Powstają sytuacje jak w dwurodzinnym mieszkaniu ze wspólną kuchnią i korytarzem.

W firmach uspołecznionych stanowisk pracy nie wykorzystuje się z kolei z innych powodów. Oficjalnie pracują one na dwie zmiany, ale nie na pełnych obrotach. Powód: brak kadry.

— Moglibyśmy od ręki zatrudnić 30 pracowników — mówi mi dyr. ekonomiczny SPUM, ANDRZEJ GOŁĘBIEWSKI — tyle bowiem brakuje nam do funkcjonujących już stacji. Brakuje fachowców. Szkoły przygotowują pracowników dla wielkiego przemysłu motoryzacyjnego, a remontowców, takich „złotych rączek” to nie ma. Gdy sobie podszykamy kogoś, to ucieka on do warsztatów prywatnych...

Ale i rzemieślnicy skarżą się na brak ludzi. W stołecznym Urzędzie podano mi przykład warsztatu pry-

watnego, 6-stanowiskowego, w którym wykorzystywano tylko 2 stanowiska.

Abstrahując od tego, kto i do kogo ucieka, faktem bezspornym jest, że brakuje speców od usług motoryzacyjnych. I gdyby udało się tę lukę w jakiś sposób uzupełnić, to jasne jest, że zwiększyłaby się podaż usług motoryzacyjnych.

Trzecim torem powinny pójść chyba wysiłki zmierzające do usprawnienia zaopatrzenia w części zamienne w typowym zakładzie motoryzacyjnym. Deficyt części do „Warszawy”, „Zuka” i „Nysy” wynosi 128 pozycji — brakuje chłodnic, docisków, bębnow hamulcowych, tylnych mostów, głowic silnika, gaźników, wiele jeszcze innych podstawowych części. Podobnie jest z częściami do „Syreny”, a nie pokazały się jeszcze w ogóle na rynku części do naszego beniaminka, „Fiata 126 p”. Ale tego tematu nie rozwijam, jako, że... jest powszechnie znany.

WSPOMNĘ tu o jeszcze jednej sprawie, znów natury nieco ogólniejszej. Obserwując rozwój usług motoryzacyjnych odnosi się wrażenie, że nie wszyscy wierzą w zapowiadaną eksplozję motoryzacyjną. Udokumentuję to na przykładzie „programu myjni”.

SPUM opracował program wybudowania 10 wysokowydajnych automatycznych myjni przy trasach wylotowych. Miały one mieć własne osadniki i oczyszczalnie (by nie zanieczyszczać ścieków miejskich). Miały myć po 70 samochodów na godzinę.

Ale skończyło się na przymiarce. Jedni z torpedujących ten program twierdzili, że przemysł chemiczny nie mógłby dostarczyć niezbędnych detergentów. Inni znów zniechęcali entuzjastów „programu myjni”, podając w wątpliwość samą ideę. Kto z tego — pytali — będzie korzystał?

Postanowiono wreszcie zakupić małą myjnię fińską o wydajności 7-8 samochodów. Miała stanąć w stacji przy ul. Wołskiej. Zaglądam tam — ani śladu...

Oglądam prospekty myjni firm Toyo Car Washing, Hydro-Max i Condi, i dumam nad przyczynami niechęci do tych urządzeń. Czy rzeczywiście użytkownicy samochodów stronili będą od automatycznego pucowania swoich wozów? A może by tak postawić jedną na próbę i praktycznie zweryfikować niektóre poglądy?

Zawsze w sytuacji gdy popyt na coś przewyższa podaż, na rynku dzieją się niedobre rzeczy. Tak jest i w usługach motoryzacyjnych. Firmy uspołecznione, na które nakładają coraz wyższe plany, traktują dobrze tylko tych klientów, którzy pomagają im zrobić te plany. Dyrektor SPUM, mgr Jerzy Garnier powiedział mi wprost: „System bodźców jest niestety taki, że preferuje usługi materiałochłonne”. Praktycznie oznacza to, że chętnie wita się tylko klientów pragnących, oprócz założenia opony, kupić całą oponę —

bo wtedy do rubryki „Usługi dla ludności” wlicza się całą gotówkę przyjętą od klienta. A z drobnymi naprawami to w ogóle nie ma co się pokazywać.

Z kolei rzemieślnicy, stosujący oficjalnie cennik dwukrotnie wyższy od państwowego, wyśrubowują ceny przy każdej okazji. Tak naprawde, to trudno się dziwić, jasne jest, że prywatny usługodawca świadczyć będzie usługę przede wszystkim temu, kto płaci najlepiej. A często wysyła klienta, by sam szukał części po sklepach.

Poza wymienionymi spostrzeżeniami — dającymi podstawę do pewnych sugestii — nasuwa się jeszcze jeden wniosek: brakuje w tym całym interesie gospodarza. Na dobrą sprawę trudno jest wskazać instytucję, która powinna zająć się całością poruszanych problemów. Kiedyś czuwał nad tymi sprawami TOS, ale uległ likwidacji.

KOMU więc podrzucić to kukulące jajo? Cechowi Rzemiosł Motoryzacyjnych? Nowo powstałemu „Polmozbytowi” — który, notabene jest placówką handlową? A może troszczyć się o to powinno Zjednoczenie Zaplecza Technicznego Motoryzacji?

Mimo wielu znaków zapytania, jest w całej tej sprawie kilka rzeczy oczywistych. Przede wszystkim wliczyliśmy miliardy złotych w rozwój motoryzacji indywidualnej. Powiedzieliśmy „A”, trzeba więc chyba powiedzieć i „B” — nowiutki samochód, stojący tygodniami tylko dlatego, że użytkownik nie może naprawić jakiegos drobiazgu — toż to wypaczanie samej idei tejże motoryzacji.

Oczywiste jest też, że producent samochodów ma wystarczająco dużo kłopotów z samą produkcją. Ale w ubiegłym roku zdecydował się przejąć w swoje ręce również i handel — MPM przejął „Motozbyt” i łącząc go z „Behamotem” i TOS utworzył „Polmozbyt”. Czy więc nie byłoby dobrze, by właśnie ten resort powieścił „C” i poczuł się do odpowiedzialności również i za całość usług motoryzacyjnych? Należy przypuszczać, że koordynacja tych spraw w ręku takiego potentata, jakim jest „Polmo” da znacznie lepsze wyniki, niż gdyby pieczę nad usługami motoryzacyjnymi sprawował przemysł terenowy, czy rzemieślnio.

Jest również oczywiste, że usługi motoryzacyjne poza Warszawą stoją jeszcze gorzej niż w stolicy.

Jest sprawą i ekonomiczną, i społecznie nienormalną dopuszczanie do takiego opóźnienia w rozwoju tego ognia masowej motoryzacji. Trzeba przecież pamiętać, że wyprodukowanie samochodu — to tylko początek, że równie ważna jest jego eksploatacja dokonywana w warunkach umożliwiających przeciętnemu użytkownikowi bezpieczne — i w miarę, przynajmniej — ciągle użytkowanie. Aby to zapewnić, nie będziemy chyba postulować kolejnej akcji politniczacyjnej społeczeństwa — uczenia każdego umiejętności naprawy własnego samochodu?



Stacje obsługi samochodów znikają z centralnych dzielnic Warszawy. W nowych osiedlach się nie pojawiają. Czy jest to efekt świadomej działalności? Zdjęcia: A. JĄŁOŚIŃSKI

KOMPLEKS GOSPODARKI ŻYWNOSCIOWEJ

AUGUSTYN WOS

Nowoczesność w podejściu do spraw gospodarki żywnościowej polega obecnie na tym, że widzi się ją kompleksowo, jako pewien podsystem gospodarki narodowej, o ukształtowanych powiązaniach wewnętrznych i jednocześnie silnie zespolony z całym organizmem gospodarczym, a także z zagranicą przez kanały eksportowo-importowe.

NA SPRAWY wytwarzania żywności i gospodarowania nią patrzyliśmy dotychczas w sposób „zatomizowany”, widząc oddzielnie rolnictwo, przemysł spożywczy i inne współdziałające z nimi gałęzie produkcji i usług. Był to, mówiąc skrótowo, „resortowy” punkt widzenia. Ukształtowany przez długie lata system planowania i zarządzania gospodarką stworzył dość wysokie bariery między poszczególnymi resortami gospodarczymi, temu podporządkowana została też statystyka, informacja ekonomiczna, badania naukowe i cały proces podejmowania decyzji. „Resortowe” kryteria podejmowania decyzji były wystarczające dopóki gospodarka nasza w swej strukturze była prosta, a powiązania międzygałęziowe odgrywały niewielką rolę. W miarę jednak jak związki te zaczęły się pogłębiać, owe kryteria „resortowe” stawały się zbyt wąskie dla racjonalizacji działalności i optymalizacji decyzji. W wyniku dojrzenia gospodarki w sensie strukturalnym i komplikowania się powiązań (przepływów) międzygałęziowych, ukształtowane w przeszłości układy „resortowe” tracą swój sens i do głosu dochodzą siły integrujące działalność gospodarczą w wielkich układach makrostrukturalnych. Jednym z nich, i to chyba najbardziej w Polsce rozwiniętym, jest kompleks gospodarki żywnościowej. Jak z tego co powiedziano wynika, istnieje on obiektywnie, gdyż obiektywnie istnieją powiązania pomiędzy tymi ogniwami gospodarki narodowej, które współuczestniczą w wytwarzaniu żywności. Nie jest to więc konstrukcja organizacyjno-planistyczna, a obiektywnie ukształtowany podsystem gospodarki narodowej, który powinien być programowany i planowany kompleksowo, według właściwej mu funkcji celu.

CO TO JEST KOMPLEKS ŻYWNOSCIOWY?

Wśród ekonomistów nie ma zgodności w sprawie definicji owego kompleksu. Nie można też oczekiwać, aby zgodność taka udało się szybko osiągnąć, gdyż formowanie się kompleksu żywnościowego znajduje się obecnie in statu nascendi. Nie wchodziż zatem w dyskusję terminologiczną, przedstawiciele pragną krótko własny pogląd na istotę kompleksu żywnościowego.

Kompleks gospodarki żywnościowej lokalizuje w sferze produkcji materialnej, stojąc na stanowisku, że obejmuje on proces wytwarzania żywności, od wydobycia surowców pierwotnych począwszy, na produkcji finalnym skończywszy (skumulowane społecznie nakłady na produkcję żywności). Towarzyszy temu założeniu, że wytwarzaniem żywności zajmuje się całe społeczeństwo, przeznaczając na ten cel odpowiednie kwantum swoich nakładów pracy żywej i uprzedmiotowionej. (Nie wlicza się tu natomiast całej sfery spożycia żywności).

Wychodząc z tych założeń proponuję wyróżnić kompleks gospodarki żywnościowej sensu stricto i sensu largo.

W ujęciu węższym (sensu stricto) kompleks ten obejmuje następujące czynniki:

1. całą wydzieloną rolnictwa (z wyjątkiem surowców rolniczych przeznaczonych dla przemysłu lekkiego i innych przemysłów przerabiających żywność) surowce pochodzenia rolniczego, wychodząc z założenia, że są to surowce do produkcji żywności lub gotowe produkty żywnościowe;

2. całą produkcję przemysłu rolnospożywczo, która ma postać finalnych produktów żywnościowych;

3. część produkcji przemysłów kooperujących z rolnictwem (zwłaszcza przemysłów wytwarzających środki produkcji dla rolnictwa), proporcjonalną do

uwagę dwa główne potencjały wytwórcze społeczeństwa (siłę roboczą oraz produkcyjny majątek trwały) stwierdzamy, że produkcja żywności absorbuje (angażuje) znaczną ich część (40-50 proc.), dodajmy jednocześnie, że jej udział w ogólnych kosztach materialnych poniesionych w sferze produkcji materialnej wynosi również około 40 proc.

Udział kompleksu gospodarki żywnościowej w ogólnospołecznej produkcji jest również bardzo wysoki, ale niższy, aniżeli jego udział w ogólnej masie czynnych zasobów produkcyjnych. Jak z naszych obliczeń wynika, w kompleksie żywnościowym powstaje 38 proc. dochodu narodowego i 36,7 proc. krajowej produkcji globalnej (tabl. 1). Różnice te wynikają z niższej wydajności pracy osób zatrudnionych w kompleksie niż w pozostałych gałęziach gospodarki narodowej.

Podstawowe wskaźniki charakteryzujące miejsce kompleksu gospodarki żywnościowej w gospodarce narodowej Polski w roku 1970 (w %)

Wyszczególnienie	Kompleks gospodarki żywnościowej	
	sensu stricto	sensu largo
1. Udział w tworzeniu krajowej produkcji globalnej	34,2	36,7
2. Udział w tworzeniu dochodu narodowego	33,2	38,0
3. Udział w kosztach materialnych poniesionych w sferze produkcji materialnej	37,1	40,5
4. Udział w ogólnej liczbie osób zatrudnionych w sferze produkcji materialnej	46,1	53,7
5. Udział w ogólnej liczbie osób zawodowo czynnych	44,4	49,8
6. Udział w ogólnej wartości produkcyjnej majątku trwałego	34,6	39,9
7. Udział żywności (wraz z napojami alkoholowymi) w ogólnej wartości spożywa	•	49,3
8. Udział żywności (wraz z napojami alkoholowymi) w ogólnej wartości spożywa z dochodów osobistych	•	56,0

Obliczenia własne na podstawie bilansu przepływów międzygałęziowych za rok 1970.

O miejscu żywności (a pośrednio też kompleksu żywnościowego) w całej gospodarce świadczy udział wydatków żywnościowych w ogólnej wartości spożywa. W roku 1970 wynosił on 49,3 proc., a w roku 1972 spadł do 45,8 proc.

STRUKTURA WEWNĘTRZNA KOMPLEKSU GOSPODARKI ŻYWNOSCIOWEJ

Pytanie o działowo-gałęziową strukturę gospodarki żywnościowej jest de facto pytaniem o stopień jej nowoczesności. Nie ma niestety takiego jednego wskaźnika, który zawierzałby syntetyczną odpowiedź na to pytanie. Posłużymy się zatem zespołem pięciu wskaźników, które traktowane łącznie, dają nam jak się wydaje umotywowany pogląd o wewnętrznej strukturze kompleksu żywnościowego w Polsce. Strukturę tę rozpatrzmy w świetle następujących wskaźników: zatrudnienia, wartości czynnego produkcyjnego majątku trwałego, poniesionych kosztów materialnych, wielkości wytworzonego produktu globalnego, wielkości wytworzonego dochodu narodowego (produkcyjnej czystej) powstałej w kompleksie gospodarki żywnościowej. Podstawą analizy są bilanse przepływów międzygałęziowych w roku 1971. Jej wyniki ilościowe zestawiono w tabeli 2.

Działowo-gałęziowa struktura kompleksu gospodarki żywnościowej w świetle pięciu wybranych wskaźników w roku 1971

Wyszczególnienie	Zatrudnienie	Wartość produkcyjnego majątku trwałego	Koszty materialne	Produkcja globalna	Produkcja czysta
1. Rolnictwo	76,2	65,8	40,1	41,7	45,1
2. Przemysł spożywczy	6,6	12,7	37,8	32,5	22,6
3. Przemysł obsługujący rolnictwo	2,9	6,5	6,5	8,4	7,5
4. Przemysł obsługujący przemysł spożywczy	1,6	3,1	3,4	3,6	2,6
5. Obrót towarowy	4,8	3,0	3,9	5,8	12,5
Kompleks gospodarki żywnościowej sensu stricto	92,1	91,1	91,5	92,0	90,4
6. Budownictwo	4,7	1,8	3,5	6,1	6,8
7. Transport i łączność	1,5	5,1	1,0	1,5	1,9
8. Leśnictwo	0,0	0,0	0,0	0,0	0,0
9. Pozostałe produkty i usługi	1,7	2,0	4,0	0,4	0,9
Kompleks gospodarki żywnościowej sensu largo	100,0	100,0	100,0	100,0	100,0

Obliczenia własne na podstawie bilansu przepływów międzygałęziowych w roku 1971.

W świetle tych wskaźników o strukturze kompleksu gospodarki żywnościowej w Polsce powiedzieć można, co następuje:

1. Charakteryzuje się on bezwzględną dominacją gałęzi bezpośrednio wytwarzających żywność, a więc: rolnictwa i przemysłu spożywczego.

Na działach i gałęziach pośrednio uczestniczących w wytwarzaniu żywności przypada około 1/4 potencjału wytwórczego (siły roboczej i majątku produkcyjnego) oraz 28-32 proc. wartości produktu całego kompleksu. Zwraca przy tym uwagę fakt, że dział i gałęzie pośrednie w wyższym stopniu partycypują w produkcji kompleksu żywnościowego, niż w jego potencjale wytwórczym, co wynika z istniejącego układu cen.

2. Decydujące znaczenie dla struktury kompleksu gospodarki żywnościowej w Polsce ma bardzo wysoki

Tabela 1

4. Wzrost udziału w kompleksie żywnościowym gałęzi obsługujących rolnictwo i przemysł spożywczy jest symptomem pogłębiania się społecznego podziału pracy. Coraz większą część czynności związanych z wytwarzaniem żywności przejmują na siebie gałęzie nierolnicze. W krajach rozwiniętych proces ten następuje bardzo szybko i świadczy dobitnie o tempie unowocześniania gospodarki żywnościowej.

W Polsce tempo przemian jest nie tylko wolniejsze niż w krajach wysoko uprzemysłowionych, ale — jak się uważa — jest ono wolniejsze niż to uzasadniały osiągnięty przez nas poziom rozwoju techniczny bądź też dochodem narodowym per capita, bądź też innymi syntetycznymi wskaźnikami. W ciągu 5 lat (1967-1971) udział zatrudnienia w gałęziach obsługujących rolnictwo i przemysł spożywczy wzrósł z 19,8 proc. do 21,5 proc., zaś trwałego majątku produkcyjnego spadł z 24,0 proc. do 21,5, podczas gdy udział tychże gałęzi w produkcie globalnym kompleksu żywnościowego wzrósł z 21,7 proc. do 25,8 proc., a w produkcie czystym — z 30,2 do 32,3 proc.

5. Z bilansów przepływów międzygałęziowych wynika, że szeroko pojmowany majątek produkcyjny kompleksu gospodarki żywnościowej rośnie ostatnio w tempie 3,3 proc. średnio rocznie (w wyrażeniu nominalnym), czyli znacznie wolniej niż produkcja globalna kompleksu żywnościowego, która wzrastała w tym czasie w tempie 5,2 proc. średnio rocznie. Ta różnica pomiędzy tempem wzrostu potencjału wytwórczego a produkcją kompleksu żywnościowego ma dwa aspekty. Po pierwsze, świadczy ona o tym, że wzrasta efektywność czynnego aparatu wytwórczego (jeśli mierzyć ją wielkością produkcji globalnej na jednostkę majątku trwałego). Po drugie, wynika z niej, że procesy modernizacji aparatu wytwórczego w kompleksie gospodarki żywnościowej, a zwłaszcza w głównym jego sektorze — w rolnictwie, przebiegają zbyt wolno. Tempo wzrostu, równe 3,3 proc. średnio rocznie, nie zapewniającej potrzebnej skali reprodukcji rozszerzonej, tj. takiej, która pozwoliłaby odrobić istniejącą zaoferowaną technicznie.

Z danych wynika, że stosunkowo najszybciej przyswaja majątek produkcyjny w przemyśle obsługującym rolnictwo, a w następnej kolejności w przemyśle spożywczym oraz w przemysłach obsługujących rolnictwo i przemysł spożywczy. Najwolniej natomiast przyswaja majątek ten rolnictwo. W tym względzie nie można nie zauważyć dość ważnej refleksji. Przeważa ona nieuchronnie do pogłębiania się już istniejącego dysproporcji pomiędzy potencjałem rolnictwa a jego produkcją. Z danych wynika, że nie ma w nim członów ważnych i nieważnych, rozwijających się szybko i wolno, gdyż „wydolność” i sprawność całego kompleksu mierzy się najniższym jego ogniwem.

6. Mówiąc o majątku trwałym czynnym w kompleksie gospodarki żywnościowej zwrócić trzeba uwagę, że jego struktura rzeczowa, zwłaszcza w rolnictwie, nie jest nowoczesna. Jego cechą szczególną jest bardzo wysoki udział majątku „biernego” (budynki i budowle), niski zaś udział maszyn, urządzeń technicznych i środków transportu, wywierających bezpośredni, aktywny wpływ na produkcję żywności. Odnosi się to w szczególności do rolnictwa. Budynki i budowle w rolnictwie stanowiły 78,6 proc. wartości majątku trwałego, przy czym w gospodarce chińskiej — aż 83,3 proc. Sytuacja ta determinowana jest społeczno-ekonomiczną strukturą naszego rolnictwa.

7. Techniczne uzbrojenie pracy (siły roboczej) zatrudnionej w całym kompleksie gospodarki żywnościowej jest niskie, co determinuje — oczywiście — jej wydajność. W roku 1971 na 1 zatrudnionego w całym kompleksie żywnościowym przypadały trwałe środki produkcji o wartości 108 tys. zł, podczas gdy w przemyśle ogółem — 210 tys. zł, w przemyśle spożywczym — 208 tys. zł, ale w rolnictwie tylko 94 tys. zł, przy czym w rolnictwie indywidualnym — 74 tys. zł, zaś w rolnictwie uprzemysłowionym — 209 tys. zł.

Przemysł spożywczy i rolnictwo uprzemysłowione charakteryzuje się więc relatywnie wysokim technicznym uzbrojeniem pracy, znacznie przekraczającym wskaźnik dla całej sfery produkcji materialnej. W rolnictwie chińskim jest ono jednakże 3-krotnie niższe, co decydująco wpływa na charakter techniczny wytwarzania w całym kompleksie żywnościowym.

8. Wadliwe proporcje wewnętrznej struktury aparatu wytwórczego czynnego w kompleksie żywnościowym potwierdzają się bardzo dobitnie w strukturze zatrudnienia. Cechą charakterystyczną naszego kompleksu żywnościowego jest niski udział zatrudnionych w działach wytwarzających środki produkcji dla rolnictwa i w sferze usług. Na jednego zatrudnionego w rolnictwie przypada u nas 0,38 osoby pracujące w wymienionych wyżej pozostałych działach, podczas gdy w Czechosłowacji — 0,48 osoby, w NRD — 0,88 osoby, w USA — 3 osoby zaś w Anglii — aż 8 osób.

9. Z dynamicznej analizy zatrudnienia w kompleksie żywnościowym wynika, że spada zatrudnienie bezpośrednie (w rolnictwie i przemyśle spożywczym) — o 0,8 punkta procentowego średnio rocznie, wzrasta zaś zatrudnienie pośrednie, a zwłaszcza w przemysłach obsługujących rolnictwo i przemysł spożywczy (w tem-

pie 0,5 punkta procentowego średnio rocznie).

Wzrost zatrudnienia w przemyśle obsługującym rolnictwo oraz w handlu wydaje się być najbardziej znaczącą w dobie obecnej cechą ewolucji struktury zatrudnienia w kompleksie gospodarki żywnościowej w Polsce. Jak dotąd, nie dokonał się jednak jeszcze zasadniczy postęp w dziedzinie budownictwa rolniczego oraz rozwoju usług dla rolnictwa ze strony transportu i łączności, choć pierwsze symptomy rewolucji na tym odcinku też już dają się zauważyć.

10. Kompleks żywnościowy, a zwłaszcza rolnictwo, należą do bardzo materiałochłonnych dziedzin produkcji. Jest przy tym istotne, że materiałochłonność ta ma tendencję rosnącą. Jeśli mierzyć ją stosunkiem poniesionych nakładów materialnych do wolumenu globalnej produkcji żywności, to dla granicznych lat badanego przez nas okresu otrzymujemy następujące współczynniki:

1962 r. — 0,626
1970 r. — 0,636

Jeśli natomiast interesuje nas materiałochłonność jednostki produktu czystego wytworzonego w całym kompleksie gospodarki żywnościowej sensu largo, odpowiednio współczynniki przedstawiają się następująco:

1962 r. — 1,648
1970 r. — 1,822

Jak stwierdziliśmy, struktura aparatu wytwórczego czynnego w kompleksie żywnościowym jest dość tradycyjna i nie odpowiada wymogom nowoczesności. W głównym członie kompleksu żywnościowego, w rolnictwie, dominują manufakturowe techniki wytwarzania, co obniża poziom społecznej wydajności pracy i jest czynnikiem podnoszącym społeczne koszty produkcji żywności. Z programu rozwoju gospodarki narodowej do roku 1990 wynika, że ukształtowane w ostatnim 30-leciu proporcje kompleksu żywnościowego nie będą mogły być utrzymane. W nadchodzącym 15-leciu oczekiwać należy przemian głębszych i dalej idących pod względem ich skali i znaczenia od dotychczas dokonanych. Z prognoz demograficznych i bilansów siły roboczej wynika, że liczba osób zawodowo czynnych w rolnictwie zmniejszy się w tym czasie do połowy stanu obecnego. Ubylek zatrudnienia rolniczego wymagać będzie zintensyfikowania procesów substytucyjnych, a zwłaszcza zwielokrotnienia strumienia środków płynących do rolnictwa z innych działów gospodarki narodowej. We wszystkich członach gospodarki żywnościowej dokonano już musi modernizacji istniejącego już aparatu wytwórczego. Ten wysiłek inwestycyjny stanie się jednak bezwzględnie konieczny, gdyż jest to jedyna droga stworzenia nowoczesnej gospodarki żywnościowej. Nadchodzące 15-lecie będzie miało z tego punktu widzenia znaczenie historyczne.

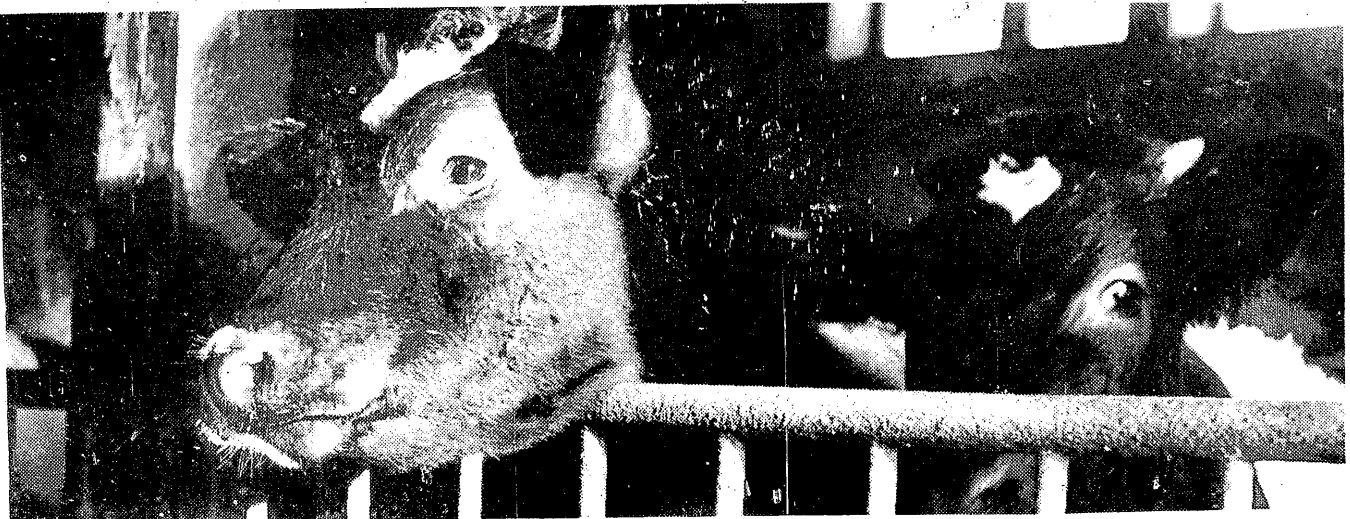
Procesy kształtowania nowych struktur (relacji międzygałęziowych) w kompleksie żywnościowym nie można rozpatrywać wyłącznie przez pryzmat modernizacji aparatu wytwórczego i wdrażania nowych technik produkcji. Jest to jednocześnie proces zasadniczej społeczno-ekonomicznej rekonstrukcji rolnictwa. Rekonstrukcja techniczna oraz socjalizacja wsi i rolnictwa stanowią dwie strony tego samego procesu.

Fatrag dzieł na gospodarce żywnościowej kompleksowej, widzieć w niej można wiele sił sprzyjających społeczno-ekonomicznej rekonstrukcji rolnictwa. W łonie gospodarki żywnościowej powstają określone formy organizacji społecznej procesu produkcji żywności i związane z nim mechanizmy ekonomiczne. Mamy tu na myśli szeroko pojęte procesy integracji i kooperacji zarówno w łonie gospodarki chińskiej, jak i między sektorami. Jesteśmy świadkami nie tylko pogłębiania się integracji pionowej na linii rolnictwo-przemysł spożywczy, ale także obywateli rolniczych i przemysłu spożywczego. W gospodarce chińskiej przyjmują one postać spółek (prostych form kooperacji), ośrodków rolniczych, kolektyw rolniczych, zrzeszeń użytkowników sprzętu rolniczego, spółdzielni produkcyjnych itp. W sektorze uprzemysłowionym obserwujemy powstawanie kombinatów rolniczych oraz kombinatów rolniczo-przemysłowych, integrujących organizacyjnie i ekonomicznie kilka stadiów produkcji żywności (a nie tylko surowców rolniczych).

Kompleksowe programowanie gospodarki żywnościowej musi więc brać pod uwagę charakter i tempo oraz formy społeczno-ekonomicznej przebudowy rolnictwa. Można sformułować nawet tezę, że szeroki program rozwoju gospodarki żywnościowej będzie stanowił czynnik wspierający i ułatwiający proces socjalizacji wsi i rolnictwa w Polsce.

Skrót referatu na konferencję naukową poświęconą problemom polityki żywnościowej w latach 1974-1990, organizowaną przez Polskie Towarzystwo Ekonomiczne i Wyższą Szkołę Nauk Społecznych.

1) Por. B. Strużek: „Rolnictwo uprzemysłowione” społeczeństw — jego współczesne oblicze i tendencje rozwoju” — „Więć Współczesna” 1971 r. 2, 3, 32.
2) W roku 1967 na 1 zatrudnionego w rolnictwie przypadał 0,38 osoby pracujące w pozostałych działach, podczas gdy w Czechosłowacji — 0,48 osoby, w NRD — 0,88 osoby, w USA — 3 osoby zaś w Anglii — aż 8 osób.
3) Z dynamicznej analizy zatrudnienia w kompleksie żywnościowym wynika, że spada zatrudnienie bezpośrednie (w rolnictwie i przemyśle spożywczym) — o 0,8 punkta procentowego średnio rocznie, wzrasta zaś zatrudnienie pośrednie, a zwłaszcza w przemysłach obsługujących rolnictwo i przemysł spożywczy (w tem-



Fot. M. KŁOS

DEMOGRAFICZNE PERTURBACJE

MAREK OKÓLSKI

Bieżący rok proklamowany został przez ONZ Światowym Rokiem Ludnościowym. Od połowy 1972 r., kiedy Rada Ekonomiczno-Społeczna ONZ przyjęła odpowiednią rezolucję, trwają przygotowania do tego bezprecedensowego „festiwalu” społeczno-demograficznego.

NAJOGÓLNIEJSZYM celem SRL ma być pobudzenie świadomości wszystkich narodów co do faktu, że współczesne problemy społeczno-ludnościowe — głód, niedożywienie, śmiertelność epidemiczna i przeludnienie — są dylematem całej ludzkości.

Obok sympozjów o charakterze roboczym, spotkań konsultacyjnych i oficjalnych, całej szeroko zakrojonej akcji informacyjnej, przewiduje się szereg imprez propagandowych. Włoski reżyser Roberto Rossellini przygotowuje film, informujący o rozmiarach kryzysu ludnościowego „trzeciego świata”, a poeta hinduski Dom Moraes pracuje nad powieścią o zagadnieniu populacji, którą wydana zostanie jednocześnie w 10 językach.

Największą wagę przywiązuje się jednak do zaplanowanej na drugą połowę sierpnia w Bukareszcie Światowej Konferencji Ludnościowej. Delegacje państw członkowskich ONZ oraz obserwatorów z ramienia organizacji międzynarodowych i wyspecjalizowanych agencji radzić będą o zagadnieniach ludnościowych w związku z problemami rozwoju społeczno-gospodarczego, zasobów naturalnych i środowiska, społeczno-kulturowych aspektów dobrobytu rodziny, praw człowieka.

NA CZYM POLEGAJA TE KRYZYSY?

U progu XX wieku ludność kuli ziemskiej liczyła około 1,7 mld osób. Od setek lat powiększanie się zasobów demograficznych miało charakter powolny i stabilny. Przełom nastąpił przed kilkudziesięciu laty. Oto jeśli w latach 1850—1900 przyrost ludności wyniósł ok. 400 mln, a w latach 1900—1950 ok. 800 mln, to na lata 1950—2000 przewiduje się wzrost rzędu 400 mln! A zatem zarysowała się wizja przepelnionego świata.

Eksplozja demograficzna w krajach rozwijających się została w sensie dosłownym „zaszczepiona” przez cywilizację zachodnią, jest procesem sztucznym i obcym, tak w stosunku do poziomu higieny, ochrony zdrowia i poziomu oświaty, jak też do możliwości produktywnego wykorzystania powiększających się szybko zasobów siły roboczej. A wszystko zaczęło się w końcu lat 1940-tych od tzw. ewenementu cejlńskiego, czyli od prostego zastosowania nowoczesnych środków owadobójczych w strefach malarycznych ówczesnego Cejlonu i niektórych innych krajów. Efekt był natychmiastowy — stopa zgonów spadła nagle niemal o połowę i w podobnym stopniu podniósł się przyrost naturalny ludności.

Do niedawna w większości krajów rozwijających się, stopa urodzeń (roczna liczba urodzeń przypadająca na 1000 żyjących wówczas osób) kształtowała się na poziomie 45—50 promille, a stopa zgonów (analogicznie: liczba zgonów na 1000 osób) — na poziomie 35—40 promille. W efekcie przyrost naturalny ludności nie przekraczał w skali rocznej 1 proc.

rzające do przyspieszenia dynamiki demograficznej. Do ich grona przyłączyły się po wojnie niektóre inne kraje. Z drugiej strony od 1948 r. Japonia, a następnie dalsze kraje (od 1955 r. również kraje socjalistyczne) poprzez szeroką liberalizację przepisów w zakresie dopuszczalności przerwania ciąży i inne akty podjęły politykę antynatalistyczną.

Konfrontacja przyszłego zaludnienia z narastającymi problemami zanieczyszczenia środowiska, ze sprawą wyczerpywania się niektórych surowców i in. sprawiła, że coraz większą popularność zyskuje lansowana szczególnie w USA koncepcja zerowego wzrostu demograficznego (ZPG — Zero Population Growth). W wyniku wystąpienia, prezydenta Nixona w Kongresie, powołania specjalnej komisji senackiej i opracowania niezwykle obszernego raportu ekspertów — osiągnięcie ZPG przed rokiem 2000 stało się jednym z oficjalnych celów polityki rządu USA.

Wymagałoby to już w niedługim czasie pełnego upowszechnienia modelu rodziny 2-dzietnej w miejsce przeważającego dziś jeszcze modelu 3-4 dzieci. Uzasadnienie jest następujące: ogólna liczba ludności USA w 2000 r. byłaby o 55 mln niższa, więc produkcja żywności, przy zachowaniu obecnych standardów, mogłaby być niższa o 30 proc., co przytoczyłoby się do zaoszczędzenia pewnej ilości zasobów surowcowych oraz do zmniejszenia zanieczyszczenia środowiska, a wydatki na szkolnictwo, ochronę zdrowia i lecnicstwo byłyby w roku 2000 o 70 mld dolarów niższe.

Konkluzja raportu Komisji brzmi następująco: ograniczenie przyrostu demograficznego nie zmniejszy potencjału kraju ani też nie osłabi rozwoju gospodarczego, stworzy natomiast szansę przyspieszenia rozwoju społecznego. Narod jest w stanie zaspokoić potrzeby liczącej się ludności, niemniej jednak osłabienie jej przyrostu oznaczać będzie znaczne powiększenie obszaru wyboru strategii rozwojowych, zwłaszcza w zakresie optymalnego użytkowania zasobów społecznych kraju.

Nie wdając się w ocenę kryteriów wyboru amerykańskiego programu polityki ludnościowej, można wyrazić sceptycyzm co do jego realności. Środkami realizacji wytkniętego celu stać się może liberalizacja przepisów w zakresie przerwania ciąży. Wspomniany raport udziela temu silnego poparcia, ale badania socjologiczne przeprowadzone w związku ze zmianą przepisów w tym zakresie w stanie Nowy Jork sygnalizują jednak groźbę pojawienia się nowego problemu społecznego (znanego m. in. natychmiastowy, gwałtowny wzrost ciąż wśród uczennic, a przede wszystkim młodzieży znajdujących się na marginesie szkół).

Natomiast mało prawdopodobny jest samoczynny, trwały proces spadku rozmiarów rodziny, a zatem proces zerowego wzrostu demograficznego. Czynniki psycho-społeczne, wywołujące dążenie do ograniczania rozrodczości, charakterystyczne dla tych grup społeczeństwa, których standard życia jest na tyle niski, że realizacja zakupów dóbr trwałego użytku wymaga m. in. ograniczenia ilości dzieci w rodzinie (posuniętego często aż do bezdzietności), tracą z wolna moc oddziaływania.

W krajach bowiem wysoko rozwiniętych udział grup o zdecydowanych preferencjach w kierunku ro-

dziny bezdzietnej albo jednodzietnej stopniowo ulega zmniejszeniu na korzyść grup, które nie muszą dłużej uznawać potrzeby tak rygorystycznego ograniczania rozmiarów rodziny i dla których dziecko przestaje być rodzajem dobra konsumpcyjnego — trwałego użytku, a staje się na powrót twórczym i niezbędnym elementem życia rodziny.

TRAGICZNY DYLEMAT „TRZECIEGO ŚWIATA”

Polega on na tym, że należące doń społeczeństwa nie mogą i nie chcą czekać na efekty, których realizacja wymaga długiego czasu. Szybki wzrost liczby ludności w warunkach, gdy brak jest środków służących zaspokojeniu najelementarniejszych potrzeb i gdy powiększa się dystans w stosunku do krajów wyżej zaawansowanych w rozwoju — potęguje jeszcze sytuację. Dlatego zagrożenie zahamowania eksplozji demograficznej, mimo że niejednokrotnie stoi to w sprzeczności z ideologicznymi przesłankami rozwoju społecznego krajów rozwijających się, uznane zostało za jedno z najpilniejszych.

Stąd też w ostatnich latach do państw prowadzących deklarowaną politykę ludnościową dołączyły kraje rozwijające się, wysuwając ogólnonarodowe programy planowania rodziny. Na 118 krajów rozwijających się w 59 popierany i finansowany jest program planowania rodziny, w tym w 31 krajach (obejmujących 74 proc. ludności trzeciego świata) działanie to stanowi element oficjalnej polityki antynatalistycznej.

Akcja prowadzona w krajach rozwijających się pochłania ogromne środki finansowe, związane z niskim poziomem wykształcenia ludności, z trudnościami w dotarciu do poszczególnych osad i wiosek, brakiem wykwalifikowanego personelu, z wielkim zasięgiem środków masowego przekazu, wreszcie z koniecznością subsydiowania środków antykoncepcyjnych i stosowania środków materialnych w stosunku do osób poddających się sterylizacji. Popierana jest ona przez ONZ, wyspecjalizowane prywatne agencje międzynarodowe oraz na płaszczyźnie bilateralnej albo multilateralnej przez niektóre wysoko rozwinięte kraje kapitalistyczne.

Zjawisko wiąże się z ukutym w USA sloganem, że 5 dolarów zainwestowanych w kraju słabo rozwiniętym w planowanie rodziny przynosi taki sam efekt jak 100 dolarów włożone tam bezpośrednio w gospodarkę narodową. Stąd przesuwanie części środków wydatkowanych na pomoc na rzecz „trzeciego świata” do systemu planowania rodziny.

Programy planowania rodziny w większości krajów rozwijających się — a zwłaszcza np. w Indiach — są jednak rodzajem akcji sztucznej i narzuconej społeczeństwu. Pomimo że organizuje się tam terenowe stacje uświadamiania, korzysta z ruchomych radiowozów, szkoli lokalny personel służby zdrowia, wreszcie zakłada obozy instruktażowe, do których dowodzi się okoliczną ludność — jedyną reakcją ze strony społeczeństwa jest po prostu obojętność.

AKCJA „OBOZÓW ANTYKONCEPCYJNYCH”

Wieloletnia akcja uświadamiania w Indiach w zasadzie zawiodła

oczekiwania. Podjęto wobec tego na wielką skalę działania polegające na jednorazowym koncentrowaniu grup ludności w specjalnych obozach, których celem jest efektywne ograniczenie zdolności rozrodczej uczestniczących osób. Obozy takie organizowane są od 1966 r. we wszystkich stanach i obejmują zwerbowanych ochotników (warunek: więcej niż 1 dziecko w rodzinie), gotowych do poddania się zabiegowi sterylizacji albo wstrzyknięcia spirali IUD, dającego identyczny efekt jak sterylizacja.

Metoda rekrutacji jest banalna — polega na odwoływaniu się przez wędrujących w terenie emisariuszy o raz krajową czy stanową sieć radiofoniczną do najpilniejszych potrzeb ludności, tzn. do potrzeb związanych z wyżywieniem. Bodźce materialne wyrażają się przeciętnie sumą 120 rupii (1972 r.) na osobę, w czym podstawowe znaczenie ma ekwiwalent żywnościowy i odzieżowy (całe 120 rupii równie jest w przybliżeniu 20 kg ryżu).

Dzięki sprawniej rekrutacji, dowozowi uczestników do obozów i z powrotem do domów, dzięki atmosferze panującej na miejscu, przypominającej atmosferę święta państwowego, a przede wszystkim w związku z zachętami finansowymi — liczba osób poddających się zabiegowi rośnie z biegiem czasu i już od początku całej akcji jest oszałamiająca: W latach 1966—1973 dokonano około 14 mln sterylizacji i około 3 mln wstrzyknięć IUD. Ogółem więc blisko 12 proc. mężatek w wieku 15—44 lata w skali ogólnokrajowej nie było narażonych na ryzyko zajścia w ciążę, przy czym w niektórych stanach odsetek ten zbliżał się nawet do 20 proc.

Ale mimo poważnych nakładów ponoszonych na akcję „obozów antykoncepcyjnych” i pomimo objęcia nią nadspodziewanie dużej ilości osób — również ona poniosła zdecydowane fiasko. Stopa urodzeń w Indiach nadal, jak przed 10 laty kształtuje się na poziomie około 40 promille, powodując corocznie przyrost ludności o około 20 mln noworodzonych.

Przyczyn niepowodzenia jest wiele. Bezpośrednią jest fakt, że obozów przybywają nie ci, którzy chcą mieć małe rodziny, lecz przede wszystkim ci, którzy cierpią głód. Są to osoby nie najmłodsze (przeciętnie wieku uczestnika — 30 lat), ze znaczną już ilością dzieci (przeciętnie na kobietę 4 dzieci i 5 ciąż), a więc, te, których udział w dalszej rozrodczości byłby już i tak nieznaczny.

DLACZEGO FIASKO

Inne kraje „trzeciego świata” podejmują podobne wysiłki. Jest wysoc prawdopodobne, że szereg państw powtórzy drogę Indijską — mimo uznania wagi problemu ludnościowego brak im bowiem odwagi i zdecydowania, a zwłaszcza siły politycznej do przeprowadzenia reform społeczno-gospodarczych, które w krótkim czasie zdolne byłyby do obalenia istniejących obecnie barier, w tym podstawowej dla poruszenia problemu — feudalno-wiejskiego modelu wielodzietnej i wielopokoleniowej rodziny. A pójsie szlakiem wytyczonych przez Indie wiązać się będzie bez wątpienia z dużym ryzykiem poniesienia podobnego fiaska.

Przeciętna młoda kobieta turecka czy indonezyjska, podobnie jak hin-

duska — zapytana o idealne rozmiary rodziny, odpowie, że pragnie mieć 4—5 dzieci, w tym najchętniej kilku synów. Brak dzieci, a często szczególnie brak potomka płci męskiej jest traktowany jako ułomność. Dziecko ma bowiem nadal wysoką wartość — ze względu na wskazania religijne, z punktu widzenia ekonomicznego, ze względu na zabezpieczenie starości rodziców i z powodów tradycyjnie prestiżowych.

Do dziś w większości społeczeństw rozwijających się brak jest motywacji w kierunku ograniczania liczby dzieci w rodzinie (ludzie ci nie stoją bowiem przed alternatywą: dziecko albo samochód czy domek). Więc w większości krajów rozwijających się rodziny liczące 6—10 dzieci (pewna część dzieci nadal nie dożywa wieku dojrzałego) są tam rodzinami modelowymi.

Czy wobec tego jest sens, by mobilizować coraz większe fundusze na przedsięwzięcie tak ryzykowne i odporne na działanie? Postawy i konkretne kroki rządów państw „trzeciego świata”, coraz bardziej jednolite i zdeterminowane, wskazują na to, że nie stracono jeszcze nadziei.

PROBLEM MIĘDZYNARODOWY

Efekty polityki antynatalistycznej, prowadzonej wyłącznie wysiłkiem zainteresowanych państw, okazały się zatem zupełnie symboliczne. Stąd też nacisk „krajów pomagających” oraz poczucie bezsilności w „krajach potrzebujących pomocy” spowodowały, że za sprawy narodowych programów planowania rodziny stopniowo uczyniono zagadnienie międzynarodowe.

Środki płynące poprzednio kanałami bezpośrednimi skierowano do specjalnych agencji i organizacji międzynarodowych. W 1966 r. Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjęło rezolucję wyrażającą zaniepokojenie z powodu narastającego kryzysu demograficznego i wzywającą wyspecjalizowane agencje ONZ do podjęcia bardziej konkretnych kroków mających na celu pomoc poszczególnym krajom w rozwiązywaniu ich specyficznych problemów oraz do prowadzenia odpowiednich studiów w skali międzynarodowej. W dwa lata później rozpoczął działalność Fundusz Ludnościowy ONZ. W 1969 r. w słynnym raporcie U Thanta znalazły się sformułowania, jakich nikt do tej pory na forum ONZ nie wypowiedział: należy niezwłocznie zmobilizować wszelkie wysiłki w celu zahamowania narastającej eksplozji demograficznej, gdyż już wkrótce może się okazać za późno na jakiegokolwiek działanie.

Zapowiedź zwołania Światowej Konferencji Ludnościowej i zainicjowanie obchodów Światowego Roku Ludnościowego przyniosło już wiele pozytywnych efektów. Najważniejszym spośród nich stało się dołączenie szeregu nowych krajów rozwijających się do grona państw realizujących programy planowania rodziny. Wyraża się przekonanie, że punktem zwrotnym jeśli chodzi o postawę wielu innych państw w stosunku do problematyki ludnościowej, stać się może właśnie Światowa Konferencja Ludnościowa, jako środek upowszechnienia idei i praktyki świadomego rodzicielstwa oraz kontroli urodzeń — zwłaszcza tam, gdzie nie ma środków na wyżywienie całej ludności i na popieranie rozwoju społecznego.



A. JALOSINSKI

